Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

ŁOWIEC POLSKI



Powrót do koliby. Fot W Puchalski.

ORGAN
POLSKIEGO ZWIĄZKU ŁOWIECKIEGO

Nr. 29 (877) 10 PAŹDZIERNIKA 1937 R.



Łoś z mierzei Kurońskiej (do art. na str. 573). Fot. St. Tyszkiewicz.

O NAJDZIWNIEJSZEJ PUSZCZY W POLSCE

Gdy mam mówić o najdziwniejszej z puszcz polskich, ogarnia mnie obawa że będę posądzony o ironję, że sławiąc krasę wielkiego pustkowia na północno-wschodnim krańcu Państwa, nawiązałem tytuł do znanej przypowieści biblijnej o „wołającym na puszczy", że, słowem, — nazywając to pustkowie „puszczą" — miałem na myśli poprostu — „pustynię". I tak — i nie. Jeżeli pod mianem puszczy rozumiemy duży obszar pierwotnego lasu... Jeżeli na dźwięk słowa „puszcza" wyobraźnia maluje nam wnętrza gęstwin zielonych, gdzie na zwałach pni zmurszałych piętrzą się ku niebu drzewa-olbrzymy, gdzie za naturalnymi zasiekami wykrotów i za wilczymi dołami „małych jeziorek, trawą zarosłych na poły" roztacza się bajeczna kraina mickiewiczowskich mateczników... Jeżeli wreszcie od puszczy wymagać będziemy oleodrukowej malowniczości: wzgórz i wąwozów, jezior i ruczajów, bezustannej rozmaitości dla zblazowanego oka... O, w takim razie pustkowie, o którym mam mówić, jest raczej pustynią, niż puszczą!.. Lecz, jeżeli na tę pozorną pustynię spojrzymy oczami przyrodnika i prawdziwego miłośnika przyrody, szukającego w jej tworach cezgoś więcej, niż łatwego odpoczynku dla wzroku znużonego martwotą podrapanych murów miasta, jeżeli na łonie natury będziemy szukali wrażeń subtelniejszych, a zarazem mocniejszych, niż zielone murawy i wonie żywiczne... lasków podmiejskich, jeżeli zapragniemy stanąć oko w oko z pierwotnym tworem naprawdę nietkniętej kulturą ludzką przyrody — a ponadto: tworem tajemniczym, niezbadanym, wyczarowującym jakieś wręcz fantastyczne porównania — wtedy to rzekome pustkowie nabierze dla nas barw i woni. A — jeżeli, broń Boże, jesteśmy myśliwcami lub rybakami, to do końca dni naszego żywota tęsknić będziemy do tej pustyni, jak do raju na ziemi...

Na północo-wschodzie Wileńszczyzny, mniej więcej w trójkącie pomiędzy graniczną Dźwiną i jej dopływem Dzisienką widnieje na mapie pusta przestrzeń, na której próżnoby szukać kółek i kółeczek oznaczających osiedla ludzkie. Przestrzeń ta jest przez kartografów starannie pokreskowana co zgodnie z prawidłami ich sztuki znaczy mniej więcej tyle, co bagno, nieużytek, mech. To też istotnie na niektórych mapach widnieje tam nazwa „Bagno Jelno", na innych — „Mech Jelno" lub „Mchy Jelniańskie". Nazwa ta pochodzi od dużego (około 7 klm. długości) jeziora Jelno położonego prawie w centrum tej pustyni. Z jeziora Jelno wypływa nieduża bagnista rzeczułka p. n. Jelnianka, która następnie minąwszy w 6-kilometrowym biegu pustynne mchy Jelniańskie wpada do rzeki Dzisienki przepływając w dolnym swym biegu przez uprawne i żyzne grunta gminy mikołajewskiej. Już ten pozornie mało znaczący fakt, że rzeczka Jelnianka wypływa z jeziora otoczonego prezz bagna, a wpada do Dzisienki wśród wzgórz uprawnych, powinien zainteresować geologów — fakt ten dowodzi bowiem, że cały olbrzymi kompleks bagien położony jest wyżej, niż wzgórza nad Dzisienką i Dźwiną. A kompleks to istotnie olbrzymi: już pierwszy rzut oka na mapę Wileńszczyzny przekona nas, że Mchy Jelniańskie są przeszło dwukrotnie większe ,niż obszar największego w Polsce jeziora — Narocz. Nikt ich obszaru nie wyliczał, bo prawnie



Łoś. — Weyssenhoff Henryk.

należą do kilku właścicieli, a faktycznie są bezpańskie. Przypuszczać jednak można, że mają one około 200 klm kwadratowych powierzchni.

Wiosną, latem i jesienią, gdy mróz nie skuje wilgotnego, nieraz bagnistego kożucha mchów, a pokrywa śnieżna nie wyrówna mszarnego labiryntu kęp — dostać się na Mchy Jelniańskie można tylko piechotą i tylko od strony wschodniej. Dojście jest dla piechurów wyjątkowo wygodne, gdyż wąskim, lecz twardym brzegiem rzeczki Jelnainki biegnie wąziutka udeptana ścieżka. Po ścieżce tej wędrują gęsiego piesze karawany myśliwych i rybaków, przypominające peregrynacje afrykańskich „safari". Na czele kroczą myśliwi i wędkarze, a za nimi — długi szereg dziśnieńskich autochtonów dźwigających toboły i wory z czajnikami, kartoflami, chlebem i innymi zapasami, obliczonymi na kilka dni, bo na krócej na Mchy Jelniańskie wybierać się nie warto. Podążmy za jedną z takich karawan i przypatrzmy się jej losom.

Sześć kilometrów trwa taka piesza podróż „w górę" rzeki Jelnianki. Wyrazy „w górę" należy, rzecz prosta, rozumieć w sensie geograficznym, gdyż istotnie zdążamy w kierunku przeciwnym biegu rzeczki. Naprawdę jednak zagłębiamy się coraz dalej w krainę bagien i mchów. Po sześciu kilometrach marszu stajemy na twardym gruncie mikroskopijnej półdzikiej łączki, porosłej niekoszoną trawą oraz krzakami malin i ożyn. Nowicjusz śmiało zapuszcza się w te krzaki, by lasować smakowite jagody, lecz autochton ostrzega go groźnie przed żmijami: jadowite żmije są też jedną z osobliwości tej dziwnej Puszczy Jelniańskiej... Łączka przytyka bezpośrednio do niedużego jeziora. Nosi ono nazwę Czarne, łączy się przesmykiem z jeziorem-olbrzymem Jelno i właściwie stanowi z nim jedną całość. Ale ludność miejscowa nadała tym jeziorom nazwy odrębne, zaś naturalny przesmyk między nimi ochrzciła mianem „kanału". Na brzegu jeziora czekają nas łodzie; przeprawiamy się na nich na drugą, zachodnią stronę jez. Czarnego. Na tej drugiej stronie leży jedyna wśród tego morza dzikich mchów sucha wyspa o obszarze kilkunastu hektarów. Jest ona nie tylko sucha, lecz i żyzna, czego dowodem — kilka osad ludzkich, kilka pólek uprawnych i piękny las, gdzie rosną nawet graby. Wychodzimy z łódek, wyładowujemy nasze bagaże i rozlokowujemy się wygodnie w obszernej izbie gajówki, gdzie wzrok nasz nęcą ustawione szeregiem przy ścianach z okrąglaków — łóżka polowe. Tu będzie nasze miejsce kilkudniowego postoju i tu będzie baza naszych ekspedycyj rybacko-myśliwskich.

Prócz małej suchej wyspy nad jez. Czarnem cały obszar Mchów Jelniańskich jest jednym olbrzymim mszarem t. j. kożuchem mchów-torfowców, porosłych karłowatą sosną, rzadziej brzozą (też karłowatą) oraz niezwykłą wprost ilością bagiennych jagód — żórawin, borówek i pijanic. Jednostajną, płaską, monotonną równinę mchów przerywają jeno od czasu do czasu jeziora — mniejsze i większe: począwszy od największego, wspomnianego już jez. Jelno, a kończąc na maleńkich, często parumentrowej tylko długości, lecz dość głębokich jeziorkach, zwanych w gwarze miejscowej „ozierawkami". Wszystkie te jeziora mają wspólną cechę: toń czarną i błotnistą a brzegi szarpane, jakby wydarte ręką nieznanego kataklizmu z bezkresnego, ciągnącego się na dziesiątki kilometrów kożucha mchów. Mają piękny i groźny zarazem czar natury północnej... Są smutne, posępne i piękne... Bardzo swojskie a zarazem jakby jakoś obce, egzotyczne, jakby wyczarowujące niesamowitą wizję innej epoki, może nawet innej planety. Coś — z księżycowych bajek Żuławskiego, coś z „Machiny czasu" Wellsa.

Fascynujący, lecz i trwożny nastrój, ogarniający podróżnika, który po raz pierwszy w życiu znalazł się na Mchach Jelniańskich, ma podstawę wielce realną. Gdy z suchej wyspy wstąpimy na bezkres mchów i oddalimy się od tej wyspy o ½ kilometra — wysokie drzewa wyspy nikną na horyzoncie i nic wokół nie ujrzymy prócz monotonji jednakowych sosenek karłowatych. Bez przewodnika i bez kompasu, zwłaszcza w dzień pochmurny, wędrówki po mchach są b. niebezpieczne. Faktem jest niezaprzeczonym, że w sercu mchów znajdowano kości ludzkie. Legenda miejscowa obecność tych kości tłumaczy dwojako. Według jednej wersji są to kości włościanek, które krążąc po mchach w poszukiwaniu jagód, zbłądziły i zmarły w tej pustyni śmiercią głodową. Inni znowu twierdzą, że są to kości bohaterskich partyzantów polskich z wojny 1919—1920 r., którzy istotnie chronili się tutaj przed inwazją bolszewicką.

Florę Mchów stanowią sosny karłowate, rzadziej — bliżej wyspy i brzegów jezior-brzózki skarłowaciałe. Niestwierdzoną, lecz b. prawdopodobną hipotezą jest obecność na Mchach b. rzadkiej w Polsce właściwei brzozy karłowatej (betula nana). Poza tym — prócz nieskończonego kożucha mchów-torfowców — rośnie tam bażyna, bagno (miejc. nazwa „bahun") oraz nie-

zmierzone wprost bogactwa jagód: żórawin, borówek, pijanic. Bogactwa te przypominają jednak raczej hipotetyczne złoża złota na księżycu: — bo jakże eksploatować te bogactwa wobec trudnych, lub raczej wręcz niemożliwych warunków komunikacyjnych i wobec rzadkości zaludnienia?... tylko znikoma część tych bogactw trafia do koszyków włościanek okolicznych krążących jeno przy samych brzegach Mchów i nie docierających nigdy do „jądra gęstwiny"...

Na czoło fauny Mchów wysuwa się bezsprzecznie pardwa, ptak typowo-północny, w Polsce coraz rzadszy — przebywający jedynie w północnych powiatach Wileńszczyzny. Pardwa zwana przez Rosjan i Francuzów „białą kuropatwą" — większa od swej szarej siostrzycy zachodniej a mniejsza od cietrzewia — jest jak wiadomo tem ciekawa, że, podobnie jak zającbielak, zmienia szatę w zależności od pory roku. Latem jest ruda i tylko skrzydła ma białe. Natomiast na zimę zmienia upierzenia na śnieżno białe. To prawo mimikry nie zawsze wychodzi biednej pardwie na zdrowie. Nierzadkie na Wileńszczyźnie zimy bezśnieżne lub małośnieżne sprawiają, że pardwa w białej szacie zimowej jest zdaleka widoczna, a wtedy staje się łatwą ofiarą najstraszniejszego swego wroga — jastrzębia-gołębiarza. To też im zimy są bardziej śnieżne i surowe, tym pardw więcej. Poza tem w b. suche lata pardwy giną wskutek masowych pożarów mchów. Na pardwy polujemy z wyżłem. Jest to polowanie emocjonujące i ciekawe: z najdalszych krańców Polski ściągają na Wileńszczyznę myśliwi, by doznać rozkoszy strzału do wyrywającego z pod wyżła z dziwnym odgłosem podobnym do drwiącego chichotu — koguta pardwy. Polowanie to piękne, lecz wielce trudne: trzeba mieć serce końskie i nogi stalowe, by kilometrami uganiać się za wyżłem po uginającym się, jak sprężynowy materac, kożuchu mchów. A i wyżeł musi być odpowiednio silny i wytrenowany.

Po za pardwami znajdziemy na Mchach, lecz tylko w pobliżu wyspy królewskie ptaki — głuszce, których zresztą mamy pod dostatkiem na całych kresach. Wielką osobliwością dla ornitologa jest obecność na większych jeziorach Mchów rzadkiego u nas mieszkańca północy — nura czarnoszyjego (colymbus arcticus). W czasie wiosennych i jesiennych przelotów można go wprawdzie spotkać zrzadka w całej Polsce, lecz Mchy Jelniańskie są, zdaje mi się, jedynem w Polsce miejscem, gdzie ten piękny ptak się gnieździ. Gnieżdżą się też na mchacb dźwięczno-jękliwe żórawie, a przebywają wreszcie i to w wielkiej obfitości, jako groźna osobliwość Mchów — jadowite, zygzakiem czarnym na grzbiecie znaczone żmije... Z powodu tych żmij istnieje w okolicy Mchów legenda, która powinna wielce zainteresować naszych pp. botaników i lekarzy. Oto podobno na wyspie nad jez. Czarnem rośnie jakaś specjalna roślinka, która po wysuszeniu i zaparzeniu stanowi ziółko — niezawodne remedjum od ukąszenia żmij, lekarstwo tańsze, przyjemniejsze i skuteczniejsze, niż reklamowane zastrzyki podskórne. Powyższa legenda wywodzi się w prostej linji z innej legendy, wręcz już fantastycznej. Podobno pies ukąszony przez żmiję znika na dni kilkanaście, jak kamień w wodę. Właściciel już go uważa za straconego, lecz oto pies zjawia się z powrotem — osłabiony i wychudły, lecz zdrów jak ryba. Rzekome obserwacje nad rzekomym znikaniem psa miały doprowadzić do sensacyjnego odkrycia, że ukąszony pies zaszywa się na czas choroby w nieprzebyte gęstwiny leśne i tam sam się leczy w ukryciu, spożywając owe ziele cudotwórcze.

Jeziora i jeziorka Jelniańskie mają niezwykłą obfitość ryb. Dzieje się to zapewne dlatego, że trudności komunikacyjne ograniczają tam do minimum ilość zarówno legalnych rybaków, jak i kłusowników rybnych. Ryby jelniańskie, a zwłaszcza drapieżne szczupaki wyrastają tam podobno do rozmiarów niesłychanych. Jak już słyszeliśmy — dużo różnych legend krąży dokoła tajemniczych Mchów. Nic więc dziwnego, że mają też Mchy swoją legendę szczupaczą. Podobno przed paru laty złowiono tam na t. zw. „błyskotkę" szczupaka wagi 160 klg. Głowa tego szczupaka miała być wielkości głowy rocznego źrebaka. A jeszcze dawniej miał się złowić na błyskotkę szczupak, którego głowa była wielkości łba starego konia. Ten musiałby ważyć chyba ze 400 kg... Niestety linka błyskotki nie wytrzymała takiego ciężaru — pękła i potworny łeb, jak łeb legendarnego węża morskiego, ukazał się na sekundę i znikł na zawsze w czarnych odmętach jez. Czarnego... Baczność, pp. wędkarze i pp. amatorzy „błyskotki"!



Kłusownik. Berent Anna.

Na tem kończę te kilka słów o Mchach Jelniańskich, o tej najdziwniejszej puszczy w Polsce, o tym niezwykłym zabytku naszej przyrody północnej. Przyrodnicy powinni jak najszybciej zainteresować się tym zabytkiem — w jego pierwotnej, nietkniętej jeszcze przez t. zw. kulturę postaci. Powinni zbadać go i wyjaśnić nam, laikom, czy jest to, jak twierdzą niektórzy, trup dawnego olbrzymiego jeziora, czy też, co może jest prawdopodobniejsze, Mchy Jelniańskie powstały w drodze innych przemian geologicznych. Przyrodnicy powinni się śpieszyć. Bo nie wiemy jak prędko dotrze z południo-zachodu na północo-wschód manja wszelkich osuszań i innych melioracyj. Już mi się obijały o uszy projekty osuszenia Mchów Jelniańskich. Kto wie — może już za kilka lat suche kopalnie torfu i bezkresy jałowych, kwaśnych łąk roztaczać się będą tam, gdzie niedawno chichotały pardwy, klapały głuszce, wydzwaniały swe jękliwe fanfary żórawie i rozlegał się dziwny, niesamowity głos nura czarnoszyjego.

MICHAŁ K. PAWLIKOWSKI

POLOWANIE NA JELENIE W KARPATACH

Do najpiękniejszych polowań, jakie wogóle istnieją, zaliczyć należy niewątpliwie polowanie na jelenie w Karpatach.

Ogrom wspaniałych lasów, pokrywających strome zbocza gór, dziki charakter chaotycznie rozsianych zrębów, na których ryczą jelenie, wreszcie duże, niezamieszkane przestrzenie, które należy przebyć, nim się znajdzie w rewirach, gdzie zwierzyna się trzyma — wszystko to tworzy całość dostarczającą wyjątkowych wrażeń, niemal mistycznych i przenosi nas w jakiś inny świat, a tak nieskończenie piękny, — niby najcudniejsza bajka.



Fot. P. Coche.

Wycieczka na polowanie w Karpaty stanowi zresztą prawdziwą wyprawę. Przedewszystkiem należy mieć do rozporządzenia dziesięć dni, a niezbędny bagaż tworzy na peronie stacji wyjazdowej pokaźny stos. Zaopatrzyć się bowiem trzeba w prześcieradła, koce, poduszki, konserwy, — jednem słowem w to wszystko, co może być potrzebne, gdy się zamierza spędzić tydzień lub dwa w małym domku myśliwskim. Niekiedy myśliwy zostaje zainstalowany u któregoś z leśniczych i wówczas cały ów balast jest najzupełniej zbyteczny. Przezorniej jednak być przygotowanym na wszelkie ewentualności, bo ostatecznie nie można nigdy przewidzieć gdzie się zamieszka.

Drogą — skądkolwiek by się nie jechało, jest zawsze bardzo daleka, gdyż tereny jelenie znajdują się na południowo-wschodnich kresach Polski, w pobliżu granicy rumuńskiej i czechosłowackiej. Dla wszystkich dzielnic kraju, nawet i dla południowo-wschodnich, — Lwów jest tą, jakbyśmy powiedzieli po wojskowemu „stacją wypadową" i z chwilą, gdy się przyjedzie do tego miasta, wchodzi się w terytorjum polowań na jelenie.

Ponieważ okres rykowiska, rozpoczynający się koło 20-go września trwa stosunkowo niedługo, wszyscy myśliwi udający się w Karpaty w tym samym mniejwięcej czasie, przejeżdżają przez Lwów i pewną ich ilość zawsze można spotkać w tym czasie w pociągu. Zbierają się wówczas wszyscy w jednym lub dwóch przedziałach i słyszy się wokół nader ożywione rozmowy, toczące się dokoła terenów łowieckich broni, lornetek, obyczajów zwierzyny, — jednym słowem tego wszystkiego, co w ten lub inny sposób łączy się z powagą tak ważnej dla myśliwego chwili. Znajdzie się zawsze w tym towarzystwie, paru znawców Karpat, którzy są radzi, mogąc popisać się swemi wiadomościami i doświadczeniem.

Najbardziej uczęszczaną przez myśliwych jest linja Lwów—Stanisławów; w Stanisławowie droga dzieli się na dwa kierunki, — z których jeden wiedzie ku granicy rumuńskiej, tędy jedzie się, chcąc poznać Huculszczyznę z jej malowniczemi strojami, — drugi kierunek zwraca na południe i doliną Prutu zdąża ku granicy czechosłowackiej. Myśliwy jadący tą drogą już wkrótce po opuszczeniu Stanisławowa widzi pierwsze odnogi Karpat. Miasteczko Nadworna jest pierwszą stacją myśliwską i tu wysiadają ci uprzywilejowajni, którzy mają szczęście polować w górach otaczających dolinę Bystrzycy i jej dopływów, w terenie specjalnie obfitującym w piękne byki. Prawie wszystkie następne stacje kolejowe dają nazwę nadleśnictwom, więc: Delatyn, Jaremcze, Tatarów, Worochta. Jesteśmy w samym sercu Królestwa Administracji lasów Państwowych, obejmującego w samem województwie Lwowskiem ponad 300.000 ha.

W niższych częściach największych dolin widać jeszcze nieliczne rozsiane wsie, stacje klimatyczne, zdrojowiska, ogrody i pola, ale z chwilą gdy zagłębimy się trochę dalej w górę, Administracja Lasów Państwowych ze swym personelem w twarzowych mundurach, eleganckimi, drewnianymi budynkami ozdobionymi tablicą z orłem białym w czerwonym polu, liniami telefonicznymi, kolejkami leśnymi, stacjami i tartakami, panuje niepodzielnie i wyłącznie. Królestwo to dzieli się z kolei na księstwa, — poszczególne nadleśnictwa, z których każde obejmuje 10 — 25.000 ha, graniczące ze sobą. Tam nadleśniczy ma władzę zupełną i niemal absolutną, pod dalekim, ale wzbudzającym postrach zwierzchnictwem dyrektora wojewódzkiego we Lwowie. Trzeba zwiedzić któreś z większych nadleśnictw w Karpatach, naprzykład nadleśnictwo w Zielonej, aby móc zdać sobie sprawę, czym może być takie lenno, gdy jest dobrze administrowane.

Nadleśnictwo Zielona, jedno z największych w tym rejonie obejmuje 21.000 ha. Położone w dolinie Bystrzycy, w okolicy specjalnie dzikiej i mało uczęszczanej przez turystów, poza samą wsią Zielona zamieszkane jest jedynie przez personel leśny, drwali i niewielką ilość wieśniaków, przebywających tu latem ze swymi stadami, pasącymi się na nielicznych, porośniętych trawą połoninach.

Przybyłem do Zielonej z Worochty, gdzie w okolicznych lasach państwowych w przeciągu paru dni polowałem na jelenie, zresztą bez powodzenia, w rejonie bardzo pięknym, niedość jednak jak dla mnie dzikim.

Wysiadłem z pociągu w Nadwornej, gdzie mnie oczekiwał pomocnik nadleśniczego, uprzedzonego telefonicznie o moim przybyciu. Powiedział mi, że p. Wójcikiewicz, nadleśniczy z Zielonej, przeprasza, że sam nie mógł przybyć na moje spotkanie, ale zmuszony był towarzyszyć w góry vice-ministrowi Skarbu, który tegoż popołudnia przyjechał na polowanie. P. Wójcikiewicz spotka się zemną, gdy tylko odprowadzi Ministra do przeznaczonego Mu domku myśliwskiego.

Inżynier przybył na moje spotkanie odprowadził mnie na stacją wyjazdową kolejki wąskotorowej, znajdującą się na terenie wielkiego tartaku państwowego. Tam, między potężnymi stosami belek, tarcic, krokwi, okrąglaków, desek itp., pomiędzy zabudo-

waniami fabrycznemi czeka już na mnie drezyna motorowa. Powietrze przesycone jest wonią świeżo tartych desek sosnowych, smoły i żywicy, ale ten zapach tartaku w niczem nie przypomina atmosfery otaczającej jakąkolwiek fabrykę w mieście — daje już przedsmak lasu i dlatego też tak bardzo go lubię.

Ruszamy. Opuściwszy ogrodzenie tartaku znajdujemy się odrazu na szczerej wsi. Wieśniacy przystąpili już do jesiennych robót w polu: mężczyźni orzą i sieją, kobiety wybierają kartofle. Od czasu do czasu któraś z dziewcząt pochylonych przy torze wyprostuje się i spojrzy na nas ciekawie wielkimi błękitnemi oczami. Są tak ładne te dziewczęta w swych białych bogato zahaftowanych koszulach, że to pewnie którąś z ich starszych sióstr musiał opiewać w swych rymach Tetmajer, który tak bardzo kochał Karpaty.

Drezyna mknie szybko, gdyż pochyłość nie jest jeszcze zbyt wielka. Stopniowo dolina zwęża się między dwiema górami, pokrytemi lasem i ostro rysującemi się na tle nieba, czystość którego przypomina mi niebo Bałkanów. Oto i Bystrzyca, gdzie się tyle krwi przelało w czasie wojny. Szumi teraz wesoło, jakby już dawno zapomniała o owych strasznych dniach... Góry zbliżają się więcej jeszcze, domy stają się coraz rzadsze, łąki węższe, las schodzi do samego toru kolejki i owiewa twarze świeżym i ostrym aromatem.

Na dwudziestym kilometrze drezyna zwalnia biegu, mija wioskę, następnie zatrzymuje się przed ogromem, w którym widnieje duży dom. To mieszkanie p. Wójcikiewicza, nadleśnego z Zielonej. Wysiadam, — na moje spotkanie wychodzi p. Wójcikiewiczowa, zaprasza do środka, częstuje doskonałym podwieczorkiem, herbatą, ciastkami itp.

Wkrótce ruszamy dalej. Tym razem towarzyszy mi pomocnik nadleśnego z Zielonej. Opuszczamy dolinę Bystrzycy i posuwamy się wzdłuż jej dopływu — Zielenicy. Po przebyciu kilkuset metrów nie widzimy już nic, prócz głębokiej kolebki utworzonej przez zalesione góry i szemrzącego na jej dnie potoku. Stok staje się bardziej spadzisty, kotlina węższa, góry bardziej strome. Pomimo wczesnej godziny słońce skryło się już oddawna za góry. Niebo czerwieniejące na zachodzie ciemnieje, — na wschodzie błyskają pierwsze gwiazdy. Wysoko ponad szczyty wystrzelające jodły rysują się na tle pomarańczowego nieba, niby czarna, delikatna koronka. Nikogo tu już nie spotykamy.

Noc zapada i gwiazdy lśnią pełnym blaskiem. Wyszukuję znane tak dobrze konstelacje: Wielkiej i Małej Niedźwiedzicy, Smoka, Liry i przerzuconą przez całe niebo wstęgę Mlecznej Drogi, zdającą się wiązać dwa szczyty.

Wreszcie po przebyciu dziesięciu kilometrów widzimy światło, — to dom leśniczego z Silnej, rejon w którym mam polować. Leśniczy wychodzi na moje spotkanie, prowadzi do wnętrza, pokazuje pokój dla mnie przeznaczony, potem schodzimy do jadalni na lekki posiłek. W tej chwili drzwi się otwierają i wchodzi nadleśniczy p. Wójcikiewicz. Jest to człowiek młody, wyglądający na oficera szwoleżerów w swym obcisłym mundurze koloru khaki. Wita mnie bardzo uprzejmie, daje wskazówki terenowe, następnie sprawdza, czy zostałem wygodnie zainstalowany i czy wszystkie przygotowania zostały poczynione, a załatwiwszy to wszystko, — prosi jeszcze raz, bym w razie jakiejś potrzeby dał mu znać telefonicznie; żegna się i odjeżdża. Wobec tego sam już wydaję zarządzenia co do nocnego wyjazdu i idę spać.

Obudzono mnie o wpół do trzeciej. Ubrałem się i wychodzę w towarzystwie górala, który zna teren i zwierzęta. Idziemy piechotą, gdyż byk na którego mam zapolować ryczy podobno niedaleko stąd. Rzeczywiście, po dziesięciominutowym marszu po zboczu góry słyszymy potężny głos jelenia ryczącego na wielkim zrębie o kilkaset metrów od nas. Śród ciemnej nocy schodzimy w dolinę, przedostajemy się przez potok i zagłębiamy w las. Jeleń ryczy w nierównych odstępach, a jego potężny głos, który ochem odbija się o skały, rozbrzmiewa w całym lesie. Noc blednie i niezdecydowane światło przenika między drzewa. Podchodzimy ostrożnie. Wolno— gdy jeleń milknie, szybciej — gdy rzuca w noc swe dzikie wołanie. Przewodnik zatrzymuje się, — dalej już idę sam. Jest już zupełnie jasno i z miejsca, w którem się zatrzymałem powinienem widzieć jelenia; nie widzę jednak nic, zwierz przeniósł się o kilkaset metrów dalej.



Fot. P. Coche.

Żeby go odnaleźć musimy przebyć znów połać lasu, poza którym obecnie się znajduje. Podchodzimy w milczeniu. Oto nareszcie znów granica lasu za którą znajduje się zrąb na bardzo stromych zboczach z płynącym na dnie potokiem. Zręb ów to gmatwanina pni, powalonych kłód, pomiędzy którymi rozrósł się gąszcz dzikich malin. W miejscu gdzie stałem, zbocze było tak strome, że nie widziałem byka, mimo, że słyszałem go o jakieś kilkadziesiąt metrów poniżej. Po chwili daremnych wysiłków by go dojrzeć, poruszyłem się ostrożnie, gdy nagle o jakieś dziesięć kroków od siebie zobaczyłem ukazujące się wielkie i niespokojne oczy łani. Niezdecydowana przyglądała mi się przez parę sekund, potym zrobiła ogromny skok i oddaliła się galopem. Usłyszałem trzask łamanych gałęzi, stuk toczących się w dół kamieni, później zobaczyłem o jakieś sto — sto pięćdziesiąt metrów dalej jelenia i jego stado, sforujące między malinami i starające się czemprędzej dosięgnąć lasu, przecinając zrąb na ukos. Przyglądając się przez lornetkę, widziałem, że jest to duży dwunastak, czy czternastak o wspaniałych rogach. W odległości jakichś dwustu metrów zatrzymał się. Szybko opieram sztucer na ramieniu przodownika, naciągam szneller, mierzę, — gdy całe stado zaczyna znów uciekać w nieładzie. Strzelanie w tych warunkach jest niemożliwe. Ryzykowałbym w tej chwili nietylko chybienie byka, lub zranienie go tylko, ale przedewszystkiem postrzelenie łani, co pociągnęłoby za sobą dużą karę i byłoby prawdziwą katastrofą. Spuszczam

więc sztucer i patrzę z żalem na niknące za drzewami stado. Jestem nieco zawiedziony, ale pociesza mnie dochodzący z oddali ryk innego jelenia.

Współczujące maliny ofiarowują mi swe ostatnie owoce, które słońce jesieni uczyniło jeszcze słodszymi i bardziej aromatycznymi niż zwykle. Siadam na pniu zwalonego drzewa i piję herbatę, która w termosie zachowała swą pokrzepiającą temperaturę, potem ruszamy dalej, wzdłuż lasu do przeciwległego wylotu polany, widniejącego o jakieś dwa kilometry od nas. Słyszymy stamtąd ryk byka. Spiętrzony zwałami teren na stromych zboczach jest niesłychanie trudny do przebycia, tak, że zużyłem około dwóch godzin czasu na przejście tej drogi i byłbym napewno dawno już zawrócił, gdyby nie miły dla mego ucha myśliwskiego koncert jeleniego ryku, dodający odwagi i zachęcający do dalszego marszu.



Fot. P. Coche.

Wreszcie jestem na szczycie grzbietu. Zatrzymuję się w miejscu, skąd widać cały zrąb i siadam na pniu dokładnie zakrytym przez zarośla. Mój przewodnik jest tuż przy mnie. Patrzymy uważnie i na końcu zrębu widzimy trzy ryczęce byki. Są niestety zbyt daleko, by do nich strzelać, ale przez lornetkę widać je dosyć dokładnie. Każde zwierzę jest otoczone trzema lub czterema łaniami, które skubią spokojnie trawę, a od czasu do czasu podnoszą głowy i rzucają wokół badawcze spojrzenia, czy nie grozi im skąd niebezpieczeństwo.

Zdala widzę dwie piękne sztuki: jeden ósmak zaczyna iść — nie strzela się jednak zwierząt słabszych niż dziesiątaki. Byki zdaje się zmęczone i ryczą coraz słabiej, wreszcie ósmak kładzie się o jakieś 150 metrów ode mnie. Później pojawiają się idące od lewej strony, wzdłuż potoku, inne jeszcze jelenie i w ciągu kilku minut ryczy ich sześć równocześnie. Jest to widok, którego nigdy nie zapomnę. Przedziwne jest uczucie, jakiego się doznaje będąc w pełnym świetle dziennym w bezpośrednim kontakcie z tajemniczym światem zwierząt, nie przeczuwającym naszej obecności. Zdaje mi się że jestem przeniesiony w jakieś bardzo zamierzchłe czasy, gdy człowiek żył jeszcze zupełnie ściśle z przyrodą, — tak jest się dziwnie odrodzonym fizycznie i moralnie.

W tym dzikim ostępie jelenie czują się zupełnie bezpieczne, do tego stopnia, że nie powracają nawet do lasu, a pozostają na zrębach i po parugodzinnym wypoczynku rozpoczynają znów rykowisko, około trzeciej po południu. Przez chwilę zapominam zupełnie o polowaniu. Czuję się tu intruzem i przychodzą mi na myśl słowa wiersza Shakespeare'a:

...And yet it irks me the peer dappled fools
Being native burghers of this desert city
Should in their confines with forked heads
Have their round haunches gor'd...

Ponieważ niemogę podejść zwierząt nie będąc przez nie niezauważonym, decyduję, że lepiej będzie odejść, nie robiąc hałasu przemykam się do lasu i wracam do domu.

O drugiej popołudniu wyruszam znów do lasu, tym razem konno, by z mniejszym zmęczeniem podchodzić jelenia. Wsiadłem na małego konika miejscowego, — zachwycające zwierzę, które mam wrażenie że przeszłoby nawet po rozciągniętej linie. Hucuł prowadzi go na postronku, gdyż nie udało się sprokurować mi uzdy. Siodło pochodzi ze starego rzędu wojskowego, który chłop musiał zdjąć z padłego tu w czasie wojny konia, należącego do jakiegoś zabitego lub zmarłego z ran i wycieńczenia w tych górach węgierskiego honweda.

Mamy dojechać na miejsce, gdzie byliśmy już zrana, ale tym razem jedziemy poprzez górę po drugiej stronie potoku, jst to bowim jedyny sposób dostania się tam bz wielkiego trudu, gdyż z tej strony istnieje ścieżka. Wznosi się ona z początku bardzo stromym zboczem na ukos zrębu i stamtąd dojrzałem o jakieś dwieście metrów miejsce, gdzie zrana podchodziłem mocnego dwunastaka. Potem zagłębiliśmy się w las. Ścieżka pnie się między skałami, wzdłuż linii grzbietu, wznoszącego się gwałtownie. Po prawej i lewej stronie przepaść, pokryta na szczęście bukami i stuletnimi jodłami, które wystrzelają dumnie, wzdłuż pionowego zbocza, podczas gdy u ich stóp leżą pnie ich starszych braci, powalonych przez burze. Nigdy nie widziałem podobnego lasu, może jedynie raz kiedyś w dawnej Serbji, podczas zwiedzania Macedonji. Ni mogę jednak robić żadnych porównań, gdyż wspomnienia te są zbyt odległe. Nademną drzewa wznoszą się tak wysoko, że ścieżka pogrążona jest w półcieniu. Posuwamy się w milczeniu, które mąci jedynie szelest kamieni, obsuwających się z pod kopyt mego wierzchowca. Lecz w ciszy tej chwytam jakąś wspaniałą muzykę: to las — najwspanialsza orkiestra świata, — gra jakąś melodię magiczną, którą tylko moja dusza słyszy... Nigdy nie wydały mi się bardziej słuszne słowa Keatsa, który mówi:

Heard melodies are sweeter...
Unheard melodies are sweeter...
(Słodkie są zasłyszane melodie
Jednak niedosłyszalne melodie są jeszcze słodsze...)

Zresztą to wszystko nie jest mi obce. Wszak to las Zygfryda, to jego szepty oszałamiające idą ku mnie.

Dochodzę do szczytu upojenia.

Drzewa zaczynają się przerzedzać. Między pniami widzę płomienie — otaczają one zapewne uśpioną tam w górze na polance jakąś słowiańską Brunhildę, której usta czekają moich ust... Ale gdy wreszcie przybywam do celu — walkiria już znikła uprowadzona przez swe siostry; pozostały po nich tylko ślady kopyt końskich na ścieżce... Ognie zgasły również, widzę jedynie promienie zachodzącego słońca, które złoci pnie i oświetla połoninę.

Nagle ryk byka przebudza mnie z marzeń. Musimy być gdzieś blisko niego, zeskakuję więc z konia i ruszam za moim przewodnikiem. Idziemy wzdłuż grzbietu, potym schodzimy w kierunku ryku. Ryczy kilka sztuk naraz i można doskonale rozróżnić ich głosy. Znajdujemy się na tej samej wysokości co one, tylko na przeciwnym brzegu wąwozu, musimy jednak chcąc go zobaczyć, zejść niżej, gdyż drzewa pokrywające zbocze zasłaniają przed nami zrąb. Sztuka to nielada zsunąć się bezszelestnie po terenie pełnym kamieni i suchych gałęzi, ale wreszcie jesteśmy dość blisko brzegu, by móc dojrzeć zwierzęta między zaroślami. Trzy byki ryczą niedaleko nas, niestety jednak, dwa największe znajdują się poza zasięgiem strzału, w miejscu zupełnie niedostępnym i mowy niema, by móc się do nich zbliżyć. W możliwej odległości widzę tylko ósmaka, — prawdopodobnie tego samego, którego widziałem już zrana.

Czekamy napróżno, aby się przekonać, czy nie zbliży się przypadkiem który. Jest już prawie noc.

Ostrożnie wracamy na szczyt, skąd prowadzi ścieżka wiodąca nas do domu. Co za powrót... Nie mogę jechać konno, bo skłon jest tak stromy, że biedny mój koń potknął się parokrotnie, omal nie przerzucając mnie przez głowę. Schodzę więc piechotą, a raczej staczam się wdół, pociągając za sobą za każdym krokiem suche gałęzie, kamienie, ziemię obsypującą się z pod nóg i mam wrażenie, że sam jestem istną lawiną. Przewodnik chwilami podtrzymuje mnie pod rękę, a ostrożność ta jest nader wskazana, gdyż bez jego pomocy niejednokrotnie ryzykowałbym stoczenie się w przepaść głębokości kilkuset metrów.

Nareszcie dolina. Nad naszymi głowami gwiazdy zastąpiły liście i igły jodłowe. Oto dom, oto i moje łóżko, które witam z uczuciem głębokiego zadowolenia.

O drugiej w nocy wyruszamy znów w tą samą drogę. Jakże się las zmienił!.. Nie jest to już bajeczny, czarodziejski las Wagnerowski, — to mroczny chaos, przywodzący na myśl tragedje Shakespeare'a. Nie jestem już teraz wojownikiem, który wyruszył na podbój pięknej, jasnowłosej dziewicy, jestem raczej rycerzem wygnanym i opuszczonym przez wszystkich, z wyjątkiem paru wiernych sług. Cisza leśna jest pełna zdrady. Poza pniami, które zaledwie rozróżniam, poza skałami o które ociera się mój koń kryją się może wrogowie, gotowi przeszyć mnie sztyletem i strącić w przepaść. Bór nasuwa teraz myśli o tragedji i śmierci, zamiast słodkich marzeń miłosnych...

Otóż wreszcie i brzask, — zwiastun zorzy porannej, otóż i połonina wieńcząca szczyty. Słyszymy już z oddali ryk jeleni. Zsiadam z konia i w półmroku jeszcze ruszamy w kierunku zwierząt, podczas gdy dzień staje się coraz jaśniejszy. Idąc zboczem, potym schodząc niżej zbliżamy się do tego głosu, który zdaje się należeć do największej sztuki.

Widzę wreszcie poprzez drzewa zrąb wznoszący się prostopadle przed nami; w dole po kamieniach płynie potok z wesołym szumem. Zatrzymuję się: dwa byki ryczą nawprost nas, a jeden trochę na lewo. Szukam wzrokiem dwóch najbliższych zwierząt; już je widzę, ale jakaż odległość... Około pięciu — lub sześciuset metrów. Otoczone łaniami ryczą na końcu zrębu, na skraju lasu. Nie można nawet marzyć o podejściu ich nawprost przez zrąb, stromy i zawalony kłodami, oplątany krzakami dzikich malin. Przyglądam się jeszcze przez lornetkę i widzę, że są to dwa wspaniałe dziesiątki, a wieńce wydają się mimo oddalenia olbrzymie.

Jeśli jednak chcę zrobić ostatnią próbę, należy się spieszyć. Wspinam się napoprzek na zbocze w kierunku trzeciej sztuki, której potężny głos zdaje się mnie przyzywać. Zbliżam się doń tak szybko, jak tylko mogę. Mój przewodnik podąża za mną, chcąc mnie powstrzymać, gdyż uważa że robię za dużo hałasu. Wiem jednak, że jeśli nie zbliżę się szybko, ryzykuję, że jeleń skryje się w lesie. Spodziewam się przytym, ż szum strumienia zagłuszy szmer, jaki czynią kamyki strącane przezemnie.

Zdaje mi się, że byk ryczy na samym końcu zrębu, co napawa mnie nadzieją, gdyż w tym miejscu jest on węższy i spodziewam się dostać zwierzę na strzał, nawet gdyby zaczęło się wspinać na zbocze. Rzeczywiście, gdy je spostrzegam, jest już daleko na szczycie zrębu. Ryczy na wzniesieniu nad potokiem, który w tym miejscu jest jeszcze małym strumykiem, zaledwie sączącym się ze źródła. Przyglądam się przez lornetkę. Jest to duży jeleń, o bardzo wysokich i grubych wieńcach. Ale jakżeż jest daleko!.. Dzieli mnie od niego ze trzysta, może trzysta pięćdziesiąt metrów. Mógłbym podejść go bliżej, obszedłszy naokoło zrąb, straciłbym na to jednak conajmniej godzinę, a gdzie byłby mój jeleń przez ten czas. Decyduję się strzelać z miejsca, na którym stoję. Schodzę tylko o dwadzieścia metrów niżej, wyszukuję drzewo o które mogę oprzeć broń. Naciągam szneler, celuję przez lunetę, przestaje oddychać — strzelam... Zwierzę podskakuj i znika w wąwozie. Widzę je znów ukazujące się niżej, gdy stara się wspiąć na drugą stronę, widocznie jednak jest już zbyt wycieńczone upływem krwi, bo pada i stacza się w dół aż do potoku, gdzie ginie mi z oczu.

Tak szybko, jak tylko mogę, zbliżam się sam do miejsca gdzie jeleń upadł, muszę jednak bardzo uważać, by nie stoczyć się w dół, zrąb bowiem jest niemal nie do przebycia i muszę iść drogą okrężną. Wreszcie docieram do miejsca, w którym stał, gdy do niego strzelałem, muszę jednak się dobrze namozolić, by zejść do punktu w którym zniknął mi z oczu. Mój przewodnik pochyla się nad wąwozem i mówi, że byk leży nieruchomo w wodzie wprost pod naszymi stopami. Uspakaja mnie to i podczas gdy idzie on zawiadomić swego towarzysza, by spotkał się z nami na dole, siadam i pokrzepiam się herbatą i paroma sandvichami. Siedząc na pniaku patrzę w górę, gdyż pod stopami mam próżnię i doznaję zawrotu głowy. Wreszcie przewodnik wraca i pomaga mi zejść do jelenia. Leży martwy, rozciągnięty w potoku. Zatrzymała go od dalszego staczania się w dół kłoda zwalona w poprzek biegu wody. Przyglądam się z dołu miejscu z którego spadał — różnica poziomów musi wynosić 80 lub nawet 100 metrów; co za szczęście, że przy upadku nie połamał rogów!... Prędko obcina się głowę, która chcę wypchać i odchodzimy. Wrócą tu jeszcze później ludzie by zdjąć skórę i poćwiartować mięso, którego nie można w żaden sposób przenieść naraz.

Nie mam innego sposobu zejścia wdół po tej zawrotnej pochyłości, jak wzdłuż potoku, przeskakując z kamyka na kamień. Staczają mi się one z pod nóg, muszę przeskakiwać przez kłody zwalone wpoprzek wąwozu. Zejście jest równie trudne jak wspinanie się.



Fot. P. Coche.

Narszcie przybywam na dół. Odwracam się raz jeszcze i obejmuję wzrokiem górę. Oto skraj lasu skąd strzelałem, oto zrąb z krzakami dzikich malin i powalonymi kłodami, oto korona drzew na szczycie grzbietu, za którym słońce zwiastuje swe bliskie narodziny, oblewając niebo purpurą... A tu strumień którego wody spływają jeszcze czerwienią krwi zabitego przezemnie jelenia, zdaje się wyrzucać mi cichym szmerem grzech, który popełniłem przeciwko naturze, tak pięknej i tak pierwotnej...

Żegnajcie lasy Karpackie. — Dziękuję wam za te przecudowne wrażenia, których udzieliłyście mi. Dziękuję za poświęcenie mi jednego ze swych zwierząt, będących waszą żywą ozdobą, ale nadewszystko dziękuję wam za to, że pozwoliłyście mi przeniknąć z głąb waszych tajemnic i odsłoniły przedemną nieocenione skarby piękna, które tylko nieliczni wybrani mają szczęście podziwiać.

P. COCHE

STRZELANIE DRAPIEŻNIKÓW PRZY JAMACH

Do tej pory nie wszędzie udało się podnieść marnego stanu naszej zwierzyny pożytecznej pomimo usilnych starań, czynionych w tym kierunku przez rząd oraz przez liczne u nas towarzystwa myśliwskie. Widocznej poprawy nie znać.

Gdzie leży przyczyna zła? Otóż, według mnie, przedewszystkiem w nadmiernej ilości drobnych zwierząt drapieżnych, zamieszkujących nory. Od tych szkodników, zazwyczaj niewidocznych za dnia, roją się knieje nasze, tak nizinne, jak i górskie.

Zapewniam, iż niejeden z wytrawnych myśliwych nawet sprawy sobie z tego nie zdaje, gdyż nie ma on nigdy sposobności, by się o tem naocznie przekonać. Znam sporo rewirów, gdzie zwierzyna pożyteczna jest stale pielęgnowana a w zimie karmiona, a mimo to stan jej liczebny nie podnosi się. Poluje się tam raz lub dwa razy do roku, a jednak rozkłady są bardzo nikłe. Jam lisich zato w lasach tych jest bardzo dużo, pomimo że od lat nikt tam lisa nie widział, ani też nie ubił. A dlaczego? Otóż z tej prostej przyczyny, że lis ruszony przez nagankę, chroni się do jamy, a tych w każdym miocie jest sporo i dlatego na linję strzałów nie wychodzi.

Należałoby w tych rewirach pozatykać wszystkie jamy po północy, tuż przed polowaniem, a wówczas niejeden lis postradałby swoje futerko. Zatykanie jam w nocy w lesie jest rzeczą trudną i wymaga przedewszystkiem dokładnej znajomości terenu oraz sumienności wykonawcy zlecenia. Dlatego zazwyczaj nie bywa ono stosowane w praktyce. Znam jednak wypadki, gdzie na terenach, na których przez rok cały tępiono szkodników po zatkaniu jam w przeddzień polowania nietylko kilka lisów, ale i borsuki znalazły się na rozkładzie.

Niektórzy z właścicieli łowisk, lisów zasadniczo nie tępią zwłaszcza w porze lęgowej, gdyż chcą je mieć na rozkładzie podczas polowań jesiennych i zimowych. Jest to zapatrywanie z gruntu fałszywe, o wyniku zazwyczaj następującym. Podczas wiosny i lata, kiedy zwierzyna się mnoży, lisy oraz inne szkodniki, zamieszkujące dany rewir, a także wychowujące młode pokolenie, niszczą w zastraszający sposób młode sarnięta, zajączki, kuropatwy i inną zwierzynę. Ja sam wyciągnąłem raz z jam lisich dwoje sarniąt, do połowy zjedzonych. Pojedyńcze sarnięta spotykałem w jamach lisich bardzo często. Najwięcej jednak spotykałem młodych zajęcy i to w takiej ilości, że ich młode lisięta nawet zjeść nie zdołały.

Raz w Zimnej Wodzie wyciągnąłem 13 zajęcy i 3 kaczki dzikie i to wszystko świeże a nie w stanie rozkładu. Innym razem w Grzędzie, spore 3 zajączki. Pozatem zastawałem często w jamach jeże i krety. To też w jesieni młode lisiaki, wyrośnięte i podkarmione należycie kosztem zwierzyny użytkowej, widząc teren ogołocony z niej, opuszczają swe strony rodzinne i przenoszą się do okolic, gdzie mogą znaleźć więcej żeru. I dlatego w rewirach, tolerujących u siebie lisy w porze lęgowej, polowania zbiorowe wypadają bardzo marnie, gdyż ani zwierzyny użytkowej ani też szkodników niema na rozkładzie.

Chcąc podnieść stan zwierzyny użytkowej w naszym kraju, musimy przedewszystkiem zapobiec nadmiernemu rozmnażaniu się drapieżników wszelkiego rodzaju. Dla wykonywania służby sanitarnej zawsze odpowiednia ilość drapieżników się znajdzie.

Jedynym sposobem, umożliwiającym skuteczną walkę z drapieżnikami, zamieszkującemi nory, jest polowanie na nie po norach przy pomocy dobrego psa. Polowanie to jest bardzo miłe i emocjonujące, a ponadto daje wiele sposobności do niezwykłych, często bardzo trudnych strzałów. Pozatem rozkład ubitych szkodników jest bardzo urozmaicony, gdyż nie ogranicza się jedynie do lisów i borsuków. Ja sam strzelałem już przed psem, przy jamach, lisy, borsuki, kuny domowe i leśne, wydry, tchórze, gronostaje, łaski, żbiki i koty domowe. Lecz o tem napiszę później.

Zaznaczam, iż nie mam tu na myśli rozkopywania jam lisich czy też borsuczych przy pomocy kiepskich jamników, gdyż takiego polowania, jako nudnego, uciążliwego, a często zawodnego i męczącego nie chcę nikomu zalecać. Może ono mieć zastosowanie wtedy tylko, gdy chodzi o wydostanie borsuków, które zazwyczaj nawet przed dobrym i niezawodnym psem niechętnie opuszczają nory i muszą być wykopane.



„Fata" opuszcza norę. Fot. A. Wiśniewski.

Na 184 borsuki, ubite do tej pory przezemnie, zaledwie 4 wyskoczyły z jam, szukając w ucieczce ratunku i zostały zastrzelone. Zazwyczaj chowają się one w jakimś zakątku jam, zmuszają psa do ustawicznego naszczekiwania w miejscu, myśliwego zaś do beznadziejnego wyczekiwania przy jamach. Nie pozostaje wówczas nic innego, jak przekopać jamy od góry, w miejscu, z którego dochodzi odgłos walki, albo odwołać psa. Jamy borsucze są zazwyczaj bardzo głębokie. Nierzadko trzebaby kopać do 3 m. w głąb, zanim dotrze się do chodnika. W porze jesiennej i zimowej jest kopanie zwykle niemożliwe z powodu mrozów. Jest to praca bardzo ciężka, naraża na ogromną stratę czasu a nawet w najlepszych warunkach terenowych niezawsze daje pożytywne wyniki. Zazwyczaj borsuki czy lis, osaczony w pewnym zakątku jamy przez mało ciętego psa a słysząc od góry łoskot kopania, wytrzymuje nieraz do ostatniej chwili. Następnie robi gwałtowny wypad, odrzuca psa w tył, a sam uchodzi w inny, odległy zakątek jamy. Wówczas należy się uzbroić w ogromną dozę cierpliwości i siły woli, by całą zabawę rozpocząć na nowo.

W początkach mej praktyki myśliwskiej miałem dużego jamnika, niebardzo ciętego, choć wytrwałego i upartego. Gdy kopałem przy nim po raz pierwszy, zmuszony byłem wykopać aż 28 kotłów do 1.20 m. głębokich, zanim wydostałem borsuka. Obecnie unikam spotkania z borsukami, zwłaszcza że nigdy nie liczę na kopanie, lecz tylko na strzał przy jamach, co, jak wyżej zaznaczyłem, przy borsukach rzadko się zdarza.

Jednak nie zawsze jest możliwem uniknąć spotka-

nia z borsukiem, zwłaszcza w jesieni, kiedy borsuki bądź szukają jam odpowiednich na leże zimowe, bądź też włażą przygodnie do jam obcych. W późnej jesieni i w zimie borsuki z jam zazwyczaj nie wyłażą, tylko, urządziwszy sobie zbiorowe a wygodne i ciepłe posłanie w odległym zakątku jamy, zapadają w sen zimowy. Wyloty jam są wówczas zazwyczaj przesypane liściem i śniegiem. Śladów brak, tylko obmarznięty śnieg i szron w niektórych wylotach jamy wskutek oddechu śpiących borsuków, zdradza doświadczonemu myśliwemu ich obecność. Pies zaś puszczony do jam zazwyczaj napotyka wkrótce legowisko borsucze, a o ile nie jest on przyzwyczajony do ignorowania borsuków i nie jest posłuszny na gwizd, rozpoczyna się zabawa, wyżej opisana, mogąca trwać bez pozytywnych wyników nawet 24 godziny, co naturalnie na mrozie, a zwłaszcza w nocy, w żadnym wypadku do przyjemności nie należy.



W nocy. Fot. A. Wiśniewski.

Borsuk wskutek swej ociężałości i niezaradności stosunkowo mało szkody wyrządza w zwierzostanie. N a j c z ę ś c i e j n i s z c z y o n g n i a z d a p r z e z p o ż e r a n i e j a j.

Podczas mej bogatej praktyki w tym kierunku, padliny napotykałem w borsuczych gniazdowych jamach bardoz mało. Raz wprawdzie wyciągnąłem małego cielaka, który, jak się później okazało, przyszedł na świat martwy i został wyrzucony do lasu, w blizkości jam borsuczych.

Spotkanie z borsukami w jamach jest, zwłaszcza dla psów ostrych zazwyczaj fatalne w skutkach, lecz tylko dla nich samych. W jesieni i w zimie, borsuk jest należycie chroniony grubą skórą, którą pies kłami rzadko przebić potrafi, oraz silną muskulaturą i grubą, bo do 5 cm. grubości dochodzącą, warstwą tłuszczu. Dlatego borsuk nawet przez psa dobrego obezwładniony być nie może. Uchwycony np. za kark, kurczy go i momentalnie wyślizguje się z psich szczęk, poczem sam przechodzi do ataku, kalecząc psa dotkliwie kłami i pazurami. Zwykle po takiej walce stają się psy niezdatne do służby na dłuższy okres czasu, gdyż rany ich wymagają długiego i troskliwego leczenia. Często zaś wychodzą z walki okaleczałe na zawsze, albo nawet giną.

Memu bardzo dobremu foksowi rozpłatał raz borsuk klatkę piersiową z prawej strony, za przednią nogą i uszkodził serce. Pies ten zginął pomimo natychmiastowej pomocy, zanim go dowiozłem do domu.

Dlatego polowania na borsuki zwłaszcza z dobremi psami i narażania psów na trwałe kalectwo, siebie zaś na uciążliwe, a często beznadziejne kopanie, stanowczo nie radzę nikomu. W najlepszym wypadku, po tylu trudach i ofiarach, zdobyta skórka borsucza — nie daje żadnego zadośćuczynienia. Następnie wskutek kopania jamy ulegają zniszczeniu i nawet przysypane z powrotem i wyrównane od góry ulegają stałym uszkodzeniom wewnętrznym, co zniewala inne szkodniki do omijania ich przez czas dłuższy, a często do zupełnego zaniechania na lata całe.

Psa, ułożonego do wypędzania szkodników z jam, nie należy nigdy pod żadnym pozorem używać przy kopaniu, gdyż wówczas zepsuje się go na zawsze, bo przyzwyczai się do uporczywego atakowania w jamach i do wyczekiwania pomocy z góry... Kopania, nieraz pomimo najszczerszych chęci, uniknąć trudno. Dlatego powinno się mieć zawsze przy sobie w rezerwie drugiego psa, używanego specjalnie do uporczywego i długiego atakowania i tylko przy nim dokonać można następnie kopania, podczas gdy psa wypędzającego należy odprowadzić i uwiązać. Zaznaczam raz jeszcze, że to sprawa bardzo ważna i że jej zaniedbywać nie można, zwłaszcza gdy się posiada psa specjalnie zdolnego do wypędzania.

Właściwym autorem i budowniczym jam jest zazwyczaj borsuk. Kopie on chodników wiele, bardzo obszernych, z wieloma wylotami. Pozatem wygrzebuje na skrzyżowaniach chodników obszerne kotły, tak nawet duże, że dwa jamniki czy też foksterjery swobodnie mogą się w nich poruszać. Prócz tego robi on na zakończeniu korytarzy, w pewnym zakątku jamy, obszerne sypialnie wysłane sianem i mchem, gdzie przepędza zimę, pogrążony w głębokim śnie. W innym odległym zakątku nory posiada on oddzielną komorę, przeznaczoną dla oddawania kału. Odchody, które często znajdowałem w tych właśnie komorach, posiadały zazwyczaj pozostałości z chrząszczy, t. zw. gnojaków, w wielkiej ilości.

Jamy borsucze są nieraz tak obszerne, że posiadają do 40 wylotów w promieniu 60 mtr. Wszystkie wyloty są połączone korytarzami, a na skrzyżowaniach ich są obszerne kotły. Jamy borsucze poznać można na zewnątrz już na pierwszy rzut oka po przekroju chodników, które są zazwyczaj obszerne, okrągłe lub półkoliste, i czyste, zwłaszcza w lecie, bez liści i trawy. Przed otworami, zwłaszcza głównym, leży zazwyczaj sporo świeżo wygarniętej ziemi, wskutek czego zejście do nory jest wgłębione.

Oryginalne jamy lisie napotyka się dosyć rzadko. Poznać je po wyglądzie a zwłaszcza w lecie po fetorze z rozkładającej się padliny oraz po odchodach, nagromadzonych u wylotów. Przekrój chodników jest tu eliptyczny i wąski. Pies nawet mały trudno przeciska się przez nie. Pozatem posiadają jamy lisie niektóre chodniki pionowe, któremi psy w żaden sposób pionowo w dół przecisnąć się nie mogą. Jamy lisie jak i borsucze są często t. zw. piętrowe, t. j. posiadają dwie warstwy chodników, położonych nad sobą w odległości do 1 m. i połączonych zwłaszcza w oryginalnych jamach lisich pionowemi wązkiemi korytarzami. Pies do takiego chodnika nie wejdzie w żaden sposób.

Często się zdarza, że lis goniony przez psa po górnej warstwie chodników, ucieka o piętro niżej. Wówczas pies, niemogąc nadążyć za nim, jakiś czas szuka lisa po jamach górnych, a następnie wyłazi zniechęcony i zobojętniały. Niejeden myśliwy wytłomaczyć sobie nie umie nagłej obojętności psa i zmusza go do ponownego przeszukiwania jam, a w razie oporu i obojętności daje mu soczyste lanie czem zazwyczaj najlepszego psa zepsuje, znarowi i odstraszy od jam na zawsze. Psa zwłaszcza dobrego przy jamach bić nie wolno. Ja sam miałem sporo podobnych wydarzeń, a radziłem sobie wówczas w ten sposób, że przekopywałem od góry jamy w pewnem miejscu aż do drugiej spodniej warstwy chodników.

Wówczas, pies wpuszczony w dolną warstwę wysadzał lisa momentalnie.

Często obszerne jamy borsucze, zamieszkuje i lis z rodziną oraz tchórze. Każda z tych rodzin zajmuje oddzielny kąt jamy. Tchórze zazwyczaj łączą główne chodniki jamy chodnikami o średnicy do 9 cm. i dlatego często się zdarza, że wymykają się psu, który za niemi temi ciasnemi chodnikami nadążyć nie może. Wówczas sprawa jest trudna do rozwiązania, a pies wyłazi po pewnym czasie zniechęcony. Wówczas nie należy psa niewinnie karać, tylko oddalić się, a powodzenia próbować innym razem. Podobnie ma się rzecz z kunami, gronostajem i łasicą. Toteż powodzenie z niemi w jamach zależy przedewszystkiem od szczęścia, a pozatem od ciętości i obrotności psa, który gwałtownie i szybko atakować musi, by je z jamy wysadzić. Dlatego tylko małe, zwinne a cięte psy należy wybierać do pracy w jamach.

Pozatem zamieszkują jamy borsucze często wydry, żbiki i zdziczałe koty domowe. Wszystkie one wyskakują przed dobrym psem bardzo prędko i mogą być z łatwością strzelone. W porze lęgowej zdobywałem bardzo często w jamach po dwie rodziny np. lisy i borsaki. Raz wyciągnąłem z tych samych jam w Zubrzy pod Lwowem, sześć lisiaków ze starą, następnie borsuczynę z dwoma młodymi oraz cztery młode tchórze. Każda z tych rodzin zamieszkiwała oddzielną część jamy i używała osobnych otworów wejściowych. Dlatego twierdzę, że polowanie w jamach z dobrym psem jest bardzo emocjonujące i urozmaicone. Niemal każdy komplet nor kryje w sobie zwłaszcza jesienią, tajemnicę, którą jedynie niezawodny pies skutecznie rozwikłać potrafi.

Mam na myśli tylko polowanie z dobrym psem wypędzającym drapieżnika z jamy i tylko, do tego rodzaju polowania chciałbym zachęcić jak najwięcej myśliwych.

Wiem, że sporo amatorów próbowało już tego polowania, zazwyczaj jednak rezygnują oni wkrótce z tej przyjemności, zniechęceni napotykanemi trudnościami oraz przejściowem niepowodzeniem. A skoro tak było, to musiał istnieć jakiś głębszy, poważniejszy powód, uniemożliwiający dobre wyniki. Zapewne brak dobrego psa oraz mała rutyna były powodem niepowodzenia.

Dlatego pragnę, opierając się na mem długoletniem doświadczeniu, wtajemniczyć innych we wszystkie tajniki tej sztuki nieraz bardzo zawiłej, by im umożliwić i ułatwić to tak miłe polowanie. Spowoduje to stopniowy ubytek szkodników w niejednym rewirze, a tem samem umożliwi poprawę marnego stanu zwierzyny użytkowej w naszych niezrównanych kniejach.

Postaram się opisywać wszystko jasno i drobiazgowo, a spostrzeżenia me popierać faktami, czerpanemi z przeżyć osobistych. Zapewniam raz jeszcze że rzadko które polowanie daje myśliwemu taką ilość przeróżnych wrażeń, i takie pełne zadowolenie, jak właśnie polowanie na jamach. A przytem wyniki są nieraz bardzo ładne i niezwykłe. Ja sam ubiłem już 2 razy po 9 lisów jednego dnia i to w lutym podczas cieczki. Rozkłady mniejsze, jak 3, 4, 5 sztuk na dzień były bardzo częste. Pozatem strzelałem przy jamach, i to często, inne drapieżniki nasze, a nieraz tak cenne i rzadkie jak n. p. żbiki w Karpatach, oraz 5 wyder.

W polowaniu główną rolę odgrywa dobry, niezawodny pies, oraz dokładna znajomość danego terenu, następnie i umiejętność przystosowanie się do miejscowych okoliczności, oraz spokój i zimna krew, która i tak wskutek wydarzeń, dochodzi często do wrzenia.

Jamy lisie i borsucze napotyka się wszędzie. W terenach górskich są one zazwyczaj na stokach południowo-wschodnich. Chodniki idą wprost w ścianę góry. Jamy takie są bardzo głębokie i o kopaniu z góry mowy być nie może. W kamieniołomach, oraz w debrach, posiadających złoża z kamienia, spotyka się zazwyczaj jamy wykopane. w warstwach ziemi, położonych pod podkładami kamienia. Tu też o kopaniu nie można myśleć. Pozatem złoża kamienne posiadają często głębokie wyrwy i szczeliny, ukryte w głębi a wymulone przez wodę.

Pies napotkawszy podobną rozpadlinę w jamach, często zapada w nią i wówczas ginie z głodu i wycieńczenia.



Woda — to skarb. Fot. J. Macior

Dlatego z dobrym psem należy takich jam unikać, a w razie potrzeby wykurzyć lisy siarką lub formaliną o czem obszernie napiszę później.

Na terenach nizinnych, choć falistych, jamy położone są zazwyczaj na wzgórzach po stronie południowo-wschodniej, często nad potokami, albo w ich bliskości, są one obszerne do 1.50 m. głębokie. Kopanie jest mozolne. Nie są jednak te jamy niebezpieczne dla psa. Na terenach płaskich, piaszczystych, istnieją zazwyczaj jamy, wykopane na równem do 1 m. głębokości. Głębokość ich zależy od głębokości wody terenowej. Na terenach bagnistych podmokłych, leżą jamy na wyniosłościach po dolinach itp.

Są one wówczas bardzo płytkie. Warstwa ziemi nad chodnikami często wynosi zaledwie 15—20 cm. Jamy te są do kopania bardzo łatwe, lecz zwykle, wskutek panującej w nich wilgoci latem, mało uczęszczane. Dopiero zimą podczas silnych mrozów można w nich zastać mieszkańców.

Borsak, lis oraz inne szkodniki dla wychowania potomstwa wybierają tak zwane jamy gniazdowe, rozległe i wygodne, a położone na ustroniu, w lesie. Z początkiem czerwca, gdy młode lisiaki podrosną i wychodzą z jamy, a zwłaszcza gdy jamy niepokojone są np. przez straż leśną, liszka wykopuje wówczas prowizoryczne, czasowe jamy gdzieś w zbożu i tam przeprowadza potomstwo. Dzieje się to bardzo często. Dlatego na polach, po żniwach napotyka się jamy, których przedtem w danem miejscu nie było. To samo ale rzadziej praktykują borsaki oraz inne szkodniki.

Dlatego mając u siebie zamieszkałe jamy lęgowe, nie należy niepokoić lisów czy też borsaków przez częste odwiedzanie i oglądanie jam, raczej je starannie omijać. W stosownym czasie, najlepiej w drugiej połowie maja, należy odwiedzić jamy w towarzystwie dobrego psa i wybrać całe gniazdo. Wybrane lisiaki można potrzymać w niewoli do czasu, aż dostaną futerka zimowe, a wówczas je unieszkodliwić.

(D. c. n.

ROBERT LUDWIG

MIERZEJA KUROŃSKA — RAJ ŁOSI

Po 24 latach niebytności w Litwie otrzymałem wreszcie tak bardzo przeze mnie oczekiwane pozwolenie od rządu litewskiego na wjazd do Litwy dla siebie i mojej rodziny.

To co tam po tylu latach nieobecności przedewszystkiem rzuciło mi się w oczy, to szalony postęp na polu gospodarczem, nie tu jest jednak miejsce dzielenia się memi spostrzeżeniami natury gospodarczej. Czytelnikom „Łowca Polskiego" chciałbym opowiedzieć to, co nasz świat łowiecki specjalnie zainteresować powinno, od czego niejednemu, jak to mówią, „oko zbieleje" i co u czytających mogłoby wywołać nawet pewne wątpliwości w prawdziwość mego opowiadania, gdyby nie fotografje, które przez moje dzieci były na miejscu robione i które przezornie do mego artykułu załączam.



Fot. St. hr. Tyszkiewicz.

Mieszkając przed wojną na Litwie, od dziecka już słyszałem cuda o terenie łowieckim, obfitującym w łosie, który znajduje się na Mierzei Kurońskiej, w tej części dawnych Prus Wschodnich, które dziś stanowią t. zw. Memelland i są włączone do Litwy.

Przyznam się otwarcie, że kiedy mi dawniej opowiadano o tem, że jakiś „dziki łoś" poranił w lesie zbierającą grzyby wieśniaczkę, że napadł na spokojnie wracającego w nocy rybaka, albo, że „stada łosi" zniszczyły zasiewy w kilku naraz wsiach rybaków zamieszkałych na mierzei, to w te opowiadania nie wierzyłem, bo teren ten był dla zwiedzających niedostępny, a opowiadania, które wówczas wśród myśliwych krążyły, zakrawały na bajkę z tysiąca i jednej nocy.

Dziś Litwa pozwala na zwiedzanie tego rezerwatu, nic więc dziwnego, że, korzystając z pierwszej nadarzającej się sposobności, wraz z osobami, które na złote gody moich rodziców do Kretyngi przyjechały, wyruszyliśmy z Kłajpedy statkiem po zatoce Kurońskiej do miejscowości Nida (Nidden), stanowiącej centrum tego rezerwatu.

Już jadąc na statku zacząłem w to wierzyć, że w Nidzie zobaczę naprawdę coś ciekawego i niezwykłego, bo statek ten jest jak gdyby specjalnie „nastawiony na łosie". W sali restauracyjnej na ścianach dużo obrazów, a każdy z nich łosia przedstawia; sprzedają kartki pocztowe z fotografjami łosi nieraz w nieprawdopodobnych wprost sytuacjach: „łoś pośrodku wsi opędzający się od opadających go kundli", „łosie przepływające Zatokę Kurońską" (40 klm. szerokości), a nawet zdjęcie migawkowe łosia szarżującego na jakieś dwie panie na brzegu morza, wśród tłumnie zapełnionej przez kąpiących się plaży.

Statek, którym jechaliśmy, płynie o jakieś półtora do dwóch klm. od brzegu mierzei, tak że gołem okiem postaci na brzegu rozróżnić nie można, kiedy więc zaczęto nam pokazywać ze statku jakieś czarne punkty na brzegu, które rzekomo miały być łosiami, to wolałem jednak pójść na śniadanie, żeby nie dać się nabierać.

Wreszcie po kilku godzinach przy ślicznej słonecznej pogodzie statek nasz szczęśliwie dopłynął do Nidy. — Jest to miejscowość żyjąca z letników i połowu węgorzy, ale nadewszystko czerpie swe dochody z osób, które tu tłumnie przybywają, żeby łosie oglądać.

Odrazu przy debarkaderze rzucają się w oczy napisy reklamujące różnych przewodników do terenów łosiowych, stoją myśliwskie bryczki 6-cio osobowe na jakichś dziwnie wysokich kołach i z obręczami o niespotykanej gdzieindziej szerokości.

Po krótkim targu towarzystwo nasze wynajęło parę takich bryczek i ruszyliśmy na teren rezerwatu. — Teren ten ciągnie się na przestrzeni jakichś 80 klm. wzdłuż mierzei szerokość, której wynosi od 2 do 6 klm. — Są to diuny nadmorskie i błota pokryte karłowatą olchą, jodłą, albo wikliną zrzadka przechodzące w większy czarny las. — Na terenie tym dróg prawie że niema i bryczki nasze wjeżdżają w jakieś gąszcze, piasek lub moczary, łamiąc krzaki i wywracając drzewka, i tylko zawdzięczając tym niesamowitym kołom udaje się koniom wyciągnąć wehikuły z trudnych nieraz sytuacyj.

Jako najstrszy wiekiem, przy wjeździe na teren moje oburzenie nie ma granic, kiedy wiozący nas przewodnicy z bryczek, które się w terenie rozjechały, na cały głos wykrzykują do siebie, żeby kierunku nie zmylić. — Wtedy milknę, zapalam ze złości papierosa i znowu w te łosie przestaję wierzyć. — Raptem wiozący nas przewodnik, krzycząc do innych furmanów, pokazuje mi batem coś, czego na górce w krzakach rozróżnić nie jestem w stanie. Na ten krzyk konie ze stępa przechodzą w galopa i wszystkie bryczki szarżują wprost na to miejsce, gdzie dostrzegł łosia nasz przewodnik łosia, którego dotąd nikt z nas jednak nie widzi. Wreszcie i my wszyscy widzimy wśród krzaków jakiś krzak rosochaty, który zaczyna się wolno posuwać i po chwili na miejsce niezarosłe o jakieś 100—150 m wychodzi potężny byk i staje, jak gdyby z tej odległości chciał nam pozować do fotografji? Aparaty fotograficzne idą w ruch, każdy się śpieszy w przypuszczeniu, że podobnej okazji już mieć nie będzie, a tymczasem furmani nasi, przeczekawszy aż minie pierwsze wraże-



Fot. St. hr. Tyszkiewicz.

nie, głośno z sobą rozmawiając, drobnym kłusem ze wszystkich stron naraz zaczynają byka objeżdżać, tak że po chwili mamy go pośrodku między bryczkami o jakieś parę kroków od siebie. Byk stoi i skubie sobie liście na drzewie, a kiedy ma tego już wyraźnie dosyć, uderza ze złością racicami o ziemię i parska tak, że piana do nas dolatuje, a wreszcie, nie śpiesząc się, wychodzi pomiędzy bryczkami do lasu, będącego opodal.

Powiem Państwu, że łoś, którego z tak bliska oglądaliśmy, zrobił na nas wrażenie prawie że domowego zwierzęcia i mimowoli zdawało mi się, że jest to jakaś sztuka oswojona, którą naiwnym zwiedzającym pokazują.

Kiedy jednak po jakimś czasie natknęliśmy się w innej części rezerwatu na stadko, składające się z pięciu byków i jednej łoszy, dalej inne bryczki, które w międzyczasie się rozjechały, spotkały w innych miejscach stada liczące po kilku i kilkanaście sztuk, dające się na leżąco podjeżdżać, to mit o łosiach przestał już być dla nas mitem, a stał się rzeczywistością. Dziś już nie tylko wierzę w to, że łosie w tej cudownej miejscowości spacerują przez wieś, że napadają ludzi w lesie, ale uwierzyłem i w to, kiedy mi pokazano samochód z rozbitym radiatorem, że radiator ten został przez łosia rozbity w chwili kiedy szofer w nocy na szosie zatrzymał maszynę, żeby łosia przepuścić, a ten rozeźlony oślepiającym go światłem rzucił się na samochód — radiator został rozbity, a łoś jagdyby nigdy nic poszedł w las, ginąc w ciemnościach nocy.

Nie będę Państwu opisywał ile i w jakich miejscach łosie spotkaliśmy, powiem tylko że filmy w aparatach wkrótce się wyczerpały i że najciekawszych zdjęć nie robiliśmy, bo już nie było czem fotografować.



Fot. St. hr. Tyszkiewicz.

Teraz jeszcze o samych łosiach na Mierzei. Z danych które po powrocie z tej niezapomnianej wycieczki zaczerpnąłem w „Die Hohe Jagd" widać, że przed wojną w leśnictwach Państwowych na mierzei było razem *1800 sztuk łosi!!!* Po wojnie, która wszędzie w zwierzostanie porobiła wielkie szkody stan łosi na mierzei ogromnie podupadł. Dziś kiedy Rząd litewski (Dyrektorjat Memelski) znowu ten rezerwat otoczył specjalną opieką stan łosi na tym terenie stopniowo wzrasta i wynosi obecnie jakoby przeszło 500 sztuk. W lipcu o rogach łosi trudno jest coś powiedzieć bo są jeszcze omszałe i w trakcie formowania, łopat nie widziałem a kształtem swoim przypominają one raczej rogi reniferów, nie łosi.



Fot. St. hr. Tyszkiewicz.

Później jakoby wszystkie one zamieniają się na łopaty. Sztuki wszystko kapitalne, widać więcej starych, niż młodych i jedno co się w oczy rzuca, to brak prawie zupełny łosz, same byki. Łosze jakoby o tej porze chronią się z małemi (wywodzą przeważnie po dwie sztuki i prowadzą przy sobie zeszłoroczną młodzież), w miejscach niedostępnych i trudno je zobaczyć. A może (i w to już dziś wierzyć zaczynam), nasi przewodnicy poprostu bali się odszukiwać łosz z potomstwem, bo o ile byk nie jest tak niebezpieczny, to łosze w obronie małych rzucają się na intruzów z zębami i racicami.

No ale już chyba dosyć, resztę trzeba samemu zobaczyć i życzę każdemu z czytelników, żeby nadarzyła mu się taka jak mnie okazja i te dziwy mierzei zobaczył. Ja osobiście tam jeszcze się wybieram tylko na przyszłą wyprawę wezmę więcej filmów i nie będę na 100 m. byle łosia fotografował.

I jeszcze jedno na zakończenie, co nasze serce myśliwskie radością i otuchą napełni. Zwierzostan w całej Litwie dzięki ostrej walce rządu litewskiego z kłusownictwem bardzo się podniósł i tam gdzie dawniej z racji kłusownictwa notorycznie uprawianego przeważnie przez urzędników rosyjskich z trudnością można było spotkać jakiegoś marnego koziołka, dziś widuje się przyzwoite stadka. Dziki, których przed wojną tam wcale nie było, zaczynają już ponoć robić szkody w polach. Brak tam kur i zajęcy, ale ten brak sowicie jest okupiony przez obecność grubszej zwierzyny.

STANISŁAW TYSZKIEWICZ.

Szan. Prenumeratorów prosimy o łaskawe szybkie odnowienie prenumeraty na IV kwartał, lub na miesiąc listopad.

Jednocześnie zmuszeni jesteśmy uprzedzić, że tym, którzy nie odnowią prenumeraty, wysyłka pisma zostanie wstrzymana. Administracja.

BEKASY

Siedlisko ich znajdowało się nieopodal dworu. Zielony, lśniący wilgocią pas mokradła rozpychał bowiem piaszczyste pagórki, przykryte cieniem sosnowych podrostów, wciskał się szerokim klinem w zrudziałą taflę wrzosowiska, podchodził wąskim jęzorem pod stary sad owocowy, oplatający miłosnym uściskiem rozrzucone zabudowania majątku.

Dziwne to było mokradło. Miejscami rozprzestrzeniał się kobierzec równy jak stół, porosły niską, jakby przystrzyżoną trawą, kiełkującą z pod rudego pokrowca mchów, opitych rdzawą, żelazistą wodą wodą. A gdzie indziej jak krosty sterczały obok siebie wysokie kępy, postrzępione kitami bujnych turzyc, falujących przy najlżejszym powiewie wiatru, który wypadał zazwyczaj nagle z pośród krzewów młodej olszyny i łóz obsiadających także rzadkiemi plamami niektóre partje bagniska.



Niebawem i taki plon. Fot. St. Bebenkowski.

Jak wierne opiekunki, stróżujące powierzoną im dziatwę, sterczały samotnie wysmukłe, młode brzózki, wyróżniające się bielą strzelistych pni z pośród gawiedzi niskich zarośli i skarlałych kęp.

Na mokradle tem trzymały się liczne gromady wszelakiego ptactwa błotnego, a przedewszystkiem w ogromnej ilości biesiadowały tam bekasy.

Latem, kiedy gorąca pieszczota słońca wypijała nadmiar połyskującej wśród traw wody, a ostry, duszny zapach rozgrzanego upałem błota szedł stamtąd potężną falą, gdy cichły zgiełkliwe głosy pierzastych lokatorów tego zakątka i jedynie wrzaskliwe, zachrypnięte z emocji derkacze mąciły chwilami panującą ciszę — moczar nie przedstawiał sobą nic interesującego.

Jesienią, kiedy zżółkła i zszarzała świeża dotąd zieleń traw, gdy jasne, cytrynowe listki brzóz opadły pstrząc podłoże szachownicą kontrastowych barw, a nad przestrzenią mokradła wlokły się ciężkie, kłębiaste mgły, w której jak nietoperze migały niekiedy rozskrzydlone sylwetki zapadających na żer wędrownych bekasików — wówczas moczar odstraszał swą bezbrzeżną melancholją i martwotą.

Inaczej było wiosną, kiedy śnieg stajał, a jego miejsce zajęła wszechwładna woda spływająca z pagórków i wzniesień do wklęsłej misy bagniska. Stary, przegniły kożuch roślinności pławił się wówczas w lazurowej toni rozlewu, oszczędzającego jedynie wyższe kępy, na których, pod wpływem pieszczoty słonecznej, zabłysły pierwsze nieśmiałe szmaragdowe igły kiełkujących traw.

Rojno i gwarno było teraz na mokradle. Gromady rudych kaczek i barwnych pstrych kaczorów buszowały po oczkach i kałużach, lub świszczącym lotem przecinały powietrze a donośne ich głosy brzmiały od świtu do nocy. Żałobne czajki wyczyniały nad bagniskiem karkołomne akrobacje, napełniające okolicę zgiełkiem jękliwych nawoływań. Szare wrony — złodziejki ściągały tu z najdalszych stron i z krakaniem obsiadały zarośla, oraz kępy.

A wkrótce potem powróciły bekasy. Przez pierwszych kilka dni spotkać je było można brodzące po płytkich rozlewach wody, lub mknące w zawrotnych wirażach nad bagniskiem. Nie grały jeszcze. Odpoczywały po długiej, uciążliwej podróży, syciły się obfitością zwiększającego się z dniem każdym zapasu pożywienia, wabiły i nawoływały, czekały na przemożne uczucie miłości, co miało je porwać, oszołomić bezmiarem rozkoszy i jawnym dreszczem gorącego pożądania.

Aż nadeszła ta chwila. Samce porwawszy się z błota, szybkiemi uderzeniami skrzydeł ukośną linją jęły wznosić się w powietrze na tak znaczną wysokość, iż często nie można ich nawet było dojrzeć okiem i tam zataczały kręgi, kreśliły łuki, opisywały koła, słowem wykonywały najrozmaitsze ewolucje nad okolicą, machając przytem prędko lotami. I nagle któryś z nich jakby załamywał się w locie i z wyprężonemi skrzydłami o szeroko rozpostartych lotkach — opadał ukosem w dół nerwowo falując lotami. W tej chwili rozlegał się donośny wibrujący głos, niby warkot jakiejś maszyny pomięszany z beczeniem owcy. W pewnym momencie ptak przerywał swój ześlizg, szybkim lotem wzbijał się w powietrze, by za chwilę opaść znowu.

Pierwszy tok kszyka, zasłyszany wczesną wiosną, gdy głosy przyrody są jeszcze bardzo nieliczne — wywierał na mnie zawsze głębokie wrażenie. Jakaś niewytłumaczona radość zalewała serce, że oto nadeszła znowu czarodziejska chwila odrodzenia natury, w której wszystko, co żyje cieszy się i kocha. Uczucia, które w tym czasie podbijają dusze ludzkie są trudne do określenia i oddania zapomocą słów, łączą bowiem w sobie jakąś dziwną tęsknotę, jakieś szczere wzruszenie z uczuciem radości i szczęścia a są tak potężne, jak żadne inne, doznane w pozostałych porach roku. Zharmonizowany, pełen nastroju koncert kszyków, rozlegający się w ciszy przedświtu, czy martwocie zmierzchu stanowi bezsprzecznie najpiękniejszą symfonję wiosennej przyrody.

I dlatego każdego wieczoru szedłem piaszczystą dróżką, przeciskającą się przez podrosty sosnowe ku najszerszej połaci mokradła, by usiąść na pieńku w pobliżu błota i długie godziny wsłuchiwać się w grę rozkochanych bekasów.

Bo zaledwie czerwone, zachodzące słońce rąbkiem swej tarczy dotknęło niebieskiej linji widnokręgu, zaledwie daleka ściana boru przywdziała złotą aureolę, już pierwszy bekas-prowodyr wzbijał się pod błękitne niebo rozpoczynając lot tokowy. Na dźwięk tego sygnału zrywały się kolejno i inne samce. Do pojedyńczego melodyjnego grania, szeroko rozlegającego się w majestatycznej ciszy wieczoru, dołączało się niebawem drugie, jak głęboki, minorowy akord wstępny rozpoczynającej się wspaniałej symfonji. A potem już, niby rozedrgane struny, dźwięczały instrumenty coraz liczniejszych następnych koncertantów, raz blizkich, często widocznych na pogodnym nieboskłonie — to znowu tak oddalonych, że gra ich traciła swą indywidualną wyrazistość, stając się tył-

ko jakby odległem echem tokujących bliżej samczyków.

Siedząc w głębokiej zadumie, wyodrębniałem uchem z ogólnego chaosu kilkanaście grających bekasów, różniących się sposobem tokowania i tonacją wydawanych dźwięków. Jeden beczał długo, spazmatycznie z częstymi nawrotami, zdając się zachwycać i lubować swą grą, jak zachłyśnięty szczęściem wirtuoz — inny znowu grał rzadko i krótko, lecz w momencie tym dawał z siebie wszystko, całą siłę swej szalonej namiętności, cały ogrom rozkosznej, przejmującej do głębi ekstazy, udzielającej się i innym rozkochanym samcom.

Rodziła się więc melodja dziwna, nie ujęta w ramy kompozycyj ludzkich, pozbawiona rytmiki, ale jednak niewymownie piękna i niesłychanie nastrojowa. Można jej było słuchać godzinami bez znudzenia — wręcz przeciwnie — w najwyższym zachwycie. Zapominało się wówczas o udrękach codziennego życia, z rudopiórym ptakiem odrywało się od powierzchni ziemi, by błądzić przez długie godziny po lazurowych przestrzeniach przestworzy, w krainie mareń i błogich snów o pięknie — utajonem w każdem zjawisku przyrody.

I choć wiosna z każdym dniem wstępowała bardziej w swe prawa, choć blada zieleń rozwijającego się listowia wykwitała coraz intensywniej na nagich dotąd pędach, czy gałązkach a ciepło słoneczne rozgrzewało ziemię, dyszącą teraz parnem wilgotnem tchnieniem — bekasy jeszcze grały, wypełniając cisze przedświtów i pogodne zmierzchy drżącym spazmem swych tokowych akordów, brzmiących raz niby ciężki, bolesny jęk — to znowu cichych jak westchnienie.

W tej ślicznej, minorowej wibracji tonów zawierała się głęboka treść tęsknoty miłosnej, wielkie pożądanie upojnej pieszczoty, krótkiej, lecz jakże oszałamiającej! Długodziobe ptaki intonowały hymn na cześć najpotężniejszego uczucia, podbijającego wiosną wszystko, co żyje, począwszy od lichego chrząszczyka, drepczącego mozolnie po zwieszonem źdźble trawki łąkowej, aż do dwunożnego pana świata, który w pogoni za pieniądzem i zaszczytami — nierzadko zabił już dawno w swem sercu to, co jest wzniosłe, piękne, święte... A jednak uczucia miłości wyplenić z siebie nie potrafił: ulega mu jak wszystko, jak cała natura.

Bekasy grały. Słońce dawno już zapadło się w siną otchłań widniejących na horyzoncie lasów. Szafirowy mrok wlókł się leniwie z oddali, czepiając się zarośli, obejmując łąki, ścieląc się grubą powłoką na mokradle. Wieczór nastawał ciepły, bezwietrzny, pachnący rozpękającą brzeziną i mdłym aromatem kwitnącej dookoła rzeżuchy błotnej. Siedziałem na pieńku wsłuchany w chorał usypiającej przyrody i w nastrojową muzykę tokujących wszędzie nademną kszyków.

Naraz na dróżce usłyszałem czyjeś kroki. Zwróciłem wzrok na lukę w zagajeniu sosnowem, czekając na ukazanie się w niej sprawcy szelestu.

Było ich dwoje. Ona złotowłosa o pięknej twarzyczce wypogodzonej i rozjaśnionej szczęściem, on wysoki, szczupły, o dużej ciemnej czuprynie i poważnem, myślącem wejrzeniu. Szli obok siebie. Ramię chłopaka oplatało kształtną kibić dziewczęcia, które tuliło swą jasną główkę do jego policzka, patrząc mu w oczy z poddańczą uległością. W tej wdzięcznej, niewyszukanej pozie kryło się tyle poezji, tyle niewysłowionego piękna, że patrząc na ich miłość — odczuwałem ten bezmiar szczęścia,, rozsadzającego im piersi. Nie widzieli mnie, choć byli o parę zaledwie kroków. Myśleli wyłącznie o sobie, o swem wielkiem, płomiennem uczuciu, o tej szalonej fali gorącej, młodzieńczej krwi, rozpalającej zmysły i serca.

Nagle ona oprzytomniała.

— Słyszysz, jak cudnie grają bekasy? rzekła do towarzysza.

— One też śnią o miłości, odparł cicho.

— Tak jak my! szepnęła z mocą.

— Jak my, powtórzył niby echo.

I naraz przystanęli. W krótkim, namiętnym splocie ramion utonęła jej postać. Stęsknione dłonie mężczyzny tuliły, przyciągały ku sobie wiotką sylwetkę ukochanej dziewczyny, w nieziemskim spazmie rozkoszy zapominającej o wszystkiem. Opleceni rękami trwali jak posąg, łącząc raz po raz swe wilgotne wargi w bezprzytomnym, upajającym pocałunku. W jego oczach zapalał się płomień szału i pożądania, ona odpowiadała mu całkowitą ufnością i szczerą, gorącą miłością oddanej bezgranicznie kobiety.

Zmęczeni, zdyszani rozłączyli wreszcie usta, nie rozluźniając jeszcze uścisku.



Irlandczyki. Fot. J. Hołyński.

— Więc tak bardzo mnie kochasz? zapytał drżącym ze wzruszenia głosem, wpatrzony w modrą toń jej oczu.

Nie odpowiedziała. Bo cóż w takiej chwili mogły wyrazić najpiękniejsze, choćby najstaranniej dobrane słowa? Z krótkim trzepotem rozpostartych ramion ramion zawisła ponownie na jego szyji, krwistą różą swych gorących warg ogarniając usta młodzieńca. Zwarli się znowu w pocałunku długim jak wieczność, którym mówili sobie wszystko mocniej, czulej, dokładniej — niżby potrafiły to oddać banalne, miłosne wyrazy.

Ocknęli się wreszcie jak ze zdrowego, pokrzepiającego snu i wolno, poważnie zawrócili w stronę dworu.

Tuż nad ich głowami spłynął ukosem tokujący kszyk. Na mokradle gdzieś kusząco wabiła samica swym dmuchającym głosem „czhii... czhii... czhii". Podnieśli twarze. Pięknie rozskrzydlony samiec śpieszył ku niej w głąb powlekającego się mrokiem błota i grał jej swą natchnioną miłosną serenadę.

Dziewczę patrzyło w dal za ginącym cieniem ptaka. Potem oparło swą kształtną główkę o ramię towarzysza i szepnęło głosem pełnym szczerego zachwytu.

— Kochane ptaki! Ja ogromnie lubię bekasy!

Zakryły ich kępy szeroko rozrosłych sosenek. Zmierzch otulił ziemię i uśpił podniebną kapelę kszyków, lecz ciepła, pachnąca wiosenna noc tchnęła dotąd płomieniem rozgorzałych zmysłów ludzkich i ptaszęcych rozmaicie wyrażonych i odczutych, a przecież tak bardzo do siebie podobnych, tak jednakowych. Tam drgały rozpostarte skrzydła — tu rozwierały się gorejące wargi — lecz i wątłym ciałkiem ptaka, i jędrną kibicią dziewczęcia wstrząsał ten sam dreszcz — dreszcz miłosnej ekstatycznej rozkoszy, silniejszej ponad rozum, wstyd, silniejszy nawet ponad życie!

LEOPOLD PAC-POMARNACKI

Z POLSKIEGO ZWIĄZKU ŁOWIECKIEGO

WALNE ZGROMADZENIA ORGANÓW POLSKIEGO ZWIĄZKU ŁOWIECKIEGO.

POWIAT GOSTYNIN, WOJ. WARSZAWSKIEGO

Na podstawie §5 statutu Polskiego Związku Łowieckiego, zwołuję Walne Zgromadzenie Powiatowe członków Polskiego Związku Łowieckiego na dzień 18 października r. b. na godzinę 12-tą w lokalu Starostwa Powiatowego w Gostyninie.

Zgromadzenie będzie prowadzone bez względu na liczbę obecnych.

Porządek dzienny:

1. Wybór sekretarza i dwóch asesorów do prezydjum.
2. Wybór członków Powiatowej Rady Łowieckiej.
3. Wybór delegatów na Walne Zgromadzenie Wojewódzkie.
4. Wolne wnioski

Łowczy P. Z. Ł. na powiat Gostynin
GUSTAW JANASZ

POWIAT PŁOCK, WOJ. WARSZAWSKIEGO.

Organizacyjne Walne Zgromadzenie Powiatowe członków Polskiego Związku Łowieckiego, w myśl § 500 statutu P. Z. Ł., zwołuję do Klubu Myśliwskiego Płockiego Towarzystwa Racjonalnego Polowania (Hotel Polski), na godz. 16-tą, dnia 12 października 1837 r., z następującym porządkiem obrad:

1. Zagajenie Zgromadzenia.
2. Wybór sekretarza i dwóch asesorów.
3. Wybór Powiatowej Rady Łowieckiej.
4. Wybór delegata na Walne Zgromadzenie Wojewódzkie.
5. Wolne wnioski.

Łowczy P. Z. Ł. na powiat Płock
DR. JÓZEF ŻENCZYKOWSKI.

SPRAWOZDANIE Z JESIENNYCH KONKURSÓW WYŻŁÓW DOWODNYCH I PRÓB POLOWYCH URZĄDZONYCH PRZEZ SEKCJĘ KYNOLOGICZNĄ W. Z. M. W DNIU 9 WRZEŚNIA 1937 R.

Doroczny konkurs rozpoczął się przy dobrej pogodzie i przy stosunkowo licznym udziale p. p. menerów, którzy przedstawili Komisji Sędziowskiej doborowy materjał, przeważnie krajowych hodowli.

Egzamin przedstawionych kandydatów rozpoczęto nagonką na króliki, poczem przystąpiono do pracy na sztucznym tropie sarnim długości 500 kroków, w terenie lesistym, miejscami o gęstem podszyciu. Po krótkiej przerwie, spowodowanej przejściem nad jezioro, rozpoczęto prace na wodzie, jak bobrowanie za kaczkami i aportowanie z głębokiej wody w czem wyżły szorstkowłose wykazały swoją pasję do wody. Przy pracy wodnej poddano egzaminowi również jednego settera irlandzkiego, który wykazał poprawną pracę wodną.

Po przerwie obiadowej, przystąpiono do przeprowadzenia powlok i badania psów pod względem zachowania na otoku i na strzał.

O godzinie 15-ej przystąpiono do pracy polowej ze specjalnem uwzględnieniem wiatru i apelu. Pracę polową utrudnił brak dostatecznej ilości kuropatw, dopiero po dłuższym czasie natrafiono na kury. Komisja Sędziowska, w osobach pp. Aleksandra Gaponowa, Jana Heinzego, Rocha Nowickiego oraz d-ra Szymańskiego, miała trudne zadanie do spełnienia przy przyznaniu nagród.

Poza konkursem wyżłów dowodnych przeprowadzono próby polowe dla pointera Splendor-Beja, którego zgłosił p. dyr. Stokowski, oraz dla settera irlandzkiego p. pułk. Mikołaja Minkusza.

Wieczorem, po odbytej dłuższej naradzie, przystąpiono do rozdania nagród, oraz ogłoszono wyniki konkursu, poczem prezes Sekcji Kynologicznej, p. Jan Kurnatowski, podziękował przybyłym p. p. menerom, gościom, oraz delegatom Wągrowieckiego Koła Myśliwych za udział w dorocznym konkursie.



Z konkursu wyżłów dowodnych 9.X Sek. Kinol. W. Z. M. w Poznaniu. Foto-Alejnik.

Podajemy krótką charakterystykę pracy wyżłów, oraz tabelę wyników.

WYŻŁY DOWODNE

	NAZWA WYŻŁA	POCHODZENIE	Data urodz.	Praca za farbą	Pr ca leśna	Praca wodna	Praca polna	Czystość	Ogólna punkt.	Prowadził i zdobyta nagroda	Apel	Wiatr
				Możliwych punktów							Możliwych punktów	
				24	52	32	128	16	252		8	20
1	„Rolf z Boreczek"	„Magda v. d. Sonnenburg" „As z Rogów	23.III 1936	16	48	32	122	16	234	leśniczy Czupiński Lechlin Złoty Medal Pol.Zw. Łow.	8	20
2	„Lord z Rościnna"	„Piotr" „Azo"	9.VIII 1935	12	48	32	114	16	222	leśniczy, Poczta Rościnno Srebrny Medal Wiel. Izby Rolnicze	6	15
3	„Hero z Boreczek"	„Magda v. d. Sonnenburg" „As z Rogów"	23.III 1936	—	52	32	115	12	211	leśniczy Kacz - Dusina bronzowy medal W.Z.M.	8	15
4	„Czok z Boreczek"	„	23.III 1936	12	36	32	120	8	208	leśniczy Kacz - Dusina list pochwalny Wiel. Izby Rolnicz.	8	20
5	„Dina v Brüchhof"	„Ador v. Pinnusce" „Regna v. Freikoryn"	31.III 1936	—	44	32	114	16	206	leśniczy, Poczta Rościnna list pochwalny W. Z. M.	4	15
6	„Katja z Wąsowa"	Mosellande Grille Graf v. Ruhrthal	21.IV 1934	16	43	20	107	12	198	leśniczy Pieprzyk-Bukowin Stary bez nagrody	6	15
7	„Astor z Bukowca	„Katja z Wąsowa" „Lord z Rościna"	11.XI 1936	—	46	24	106	12	188	leśniczy Pieprzyk Ludwik bez nagrody	8	14
	WYŻŁY ANGIELSKIE											
						32	120		152			
	„Bej Splendor państw.	Rolmil Prima Blakfield Trop	13.V 1931	—	—	20	117	—	137	Pindzik Złoty Medal W. Z. M.	8	20
	„Lord" setter irland.	„Dialma"	2.VI 1935	—	—	24	85	—	119	pułk. Minkusz Srebrny medal S. W. Z. U.	8	15

Rozpatrując zdolności poszczególnych wyżłów, możemy zaznaczyć, że:

1) „Rolf" z Boreczka, własność leśniczego Ciupińskiego, wykazał bardzo dobrą pracę za farbą, jako też doskonale pracował w poszczególnych działach: w lesie, na wodzie i w polu.

2) „Lord" leśniczego Poczty niezupełnie pewny na tropie, ale prowadzi; dobra praca w lesie, na wodzie i cięłość; w polu dał słabsze rezultaty, ponieważ apel nieco szwankował, ale jako prawnuk „Ingo" z nad Gopła wykazuje swój ród.

3) „Hero" hodowli Boreczek, mało wykazał zainteresowania tropem, natomiast w lesie i na wodzie pracował doskonale, w porównaniu z wiosennemi próbami młodzieży, wykazał nieco słabszy wiatr, cięłość wykazał dostateczną. Wogóle ten pies może być doskonały.

4) „Czok" hodowli Boreczek pracował poprawnie na tropie, nieco chybił w leśnej pracy przy odszukaniu zgubionej zwierzyny i to widać z powodu zgorączkowania; tem więcej można to przypuszczać, że był na tropie dobry i wykazał wiatr, chociaż w wiosennych próbach młodzieży wykazał wiatr znacznie słabszy niż „Hero", którego teraz wiatrem pobił.

5) „Dina" p. Poczty, import z Niemiec, zawiodła oczekiwania sędziów, ponieważ na wiosennych próbach, jako młody wyżeł, zapowiadała lepsze wyniki. Możliwe, że mener wadliwą wybrał w stosunku do niej metodę, możliwe, że wystąpił narów — zaczekamy.

6) „Katja", własność p. Pieprzyka Kazimierza, doskonale doprowadziła po tropie do kozła, w pracy leśnej wykazała dobre walory, ale w wodnej pracy była znacznie słabsza od innych wyżłów, w każdym razie pasji do pracy w wodzie nie wykazała, jako delikatny wyżeł, co również jawniło się przy próbie na cięłość, ponieważ, mając pasję do drapieżnika, nie mogła dzięki swojej budowie załatwić się z nim krótko. Matką może być dobrą, co okazało się po synu „Astorze".

7) „Astor", własność p. Pieprzyka Ldwika, syn Lorda, szczeniak 10-cio miesięczny, który powinien był iść w klasie młodzieży, nic dziwnego, że żadnej nagrody nie dostał. Mimo to, pokazał swoje zalety, jako potomek „Ingo" z nad Gopła i możliwe, że dostałby wyższą ocenę, gdyby mener prawidłowiej prowadził. „Astor" wykazał dużą chęć do pracy za farbą, ale prowadzony na krótkim otoku wcale nie mógł prawidłowo pracować.

Z wyżłów angielskich:

1) „Bej-Splendor" pana Faltera wykazał się jako doskonały polowy wyżeł, ładnie odnajduje w burakach parę kur, doskonale wystawia i spokojnie prowadzi za wyciekającemi kurami, poczem ładnie znalazł i zaaportował zgubioną kurę, jak i królika; praca zupełnie zadowalająca.

2) „Lord", setter irlandzki p. pułk. Minkusza, wykazał słabszy wiatr, niż można było się spodziewać po wiosennych próbach i zbyteczną nerwowość, czego nie miał w kwietniu, poza tem pracował prawidłowo, nie zważając na pudła swego pana.

W załączonej tabeli podamy dokładną punktację poszczególnych prac, oraz maksymalne ilości punktów możliwych do osiągnięcia w każdym dziale.

Ponieważ w jednym z numerów „Łowca Polskiego" był postawiony zarzut, że przy sędziowaniu wyżłów dowodnych w polnej pracy, w szczególności na wiatr zwraca się mało uwagi, zarząd sekcji, pomimo ogólnej punktacji polnej pracy, która swoją wagą 128 punktów przewyższa punktację zsumowanych innych działów, razem dających tylko 124 punkty — osobno podkreślił ilość punktów, otrzymanych przez poszczególnych kandydatów za wiatr i za apel, które to punkty brane były zawsze pod uwagę.

Zarząd Sekcji Kynologicznej wyraża serdeczne podziękowanie wszystkim, którzy przyczynili się do przeprowadzenia wspomnianego konkursu oraz łaskawym ofiarodawcom cennych upominków i nagród, a mianowicie Towarzystwu Łowieckiemu w Poznaniu, Z. A „Pocisk" oraz Warszawskiej Spółce Myśliwskiej Oddziałowi w Poznaniu.

skarbnik: A. GAPONOW.

JAN HEINZE. wiceprezes:

TREŚĆ NUMERU.

O najdziwniejszej puszczy w Polsce — *M. K. Pawlikowksi.* Polowanie na jelenie w Karpatach — *P. Coche.* Strzelanie drapieżników przy jamach — *R. Ludwig.* Mierzeja Kurońska — Raj łosi — *St. Tyszkiewicz.* Bekasy — *L. Pac-Pomarnacki.*

Z Polskiego Związku Łowieckiego: walne zgromadzenia organów P. Z. Ł.

Sprawozdanie z jesiennych konkursów wyżłów dowodnych Wielk. Zw. Myśliwych w Poznaniu.

KOMITET REDAKCYJNY: K. Czampe, J. Dylewski, W. Garczyński, B. Gędziorowski, J. Gieysztor, I. Grymiński, Wł. Janta-Połczyński, Z. Kleszczyński, H. Knothe, J. W. Kobylański, St. Leski, M. Mniszek-Tchorznicki, E. Niezabitowski, F. A. Ossendowski, M. hr. Potocki, St. Prus-Wiśniewski, B. Przychodźko, A. hr. Rzewuski, J. Skrzypek, W. Szperling, K. Świderski, B. Świętorzecki, K. Wodzicki, Wł. Zabiełło, St. Zaborowski i J. Żabiński.

Redaktor: Walenty Włodzimierz Garczyński. **Wydawca:** Polski Związek Łowiecki.

PRENUMERATA: Zgóry za kwartał zł. 7,50; za pół roku zł. 15; za rok zł. 28. Miesięcznie zł. 2,50. — Numer pojedyńczy 1 zł. Za zmianę adresu — 50 gr. Za numer reklamowany w przeciągu miesiąca — 25 gr.
Pocztowe Konto Rozrachunkowe Nr. 206, Warszawa 1.

Zarząd i Sekretarjat Polskiego Związku Łowieckiego tel. 6-66-15.

ADRES: NOWY ŚWIAT 35. TELEFON REDAKCJI I ADMINISTRACJI 607-98. KONTO P. K. O. 8662.

Zakł. Druk. F. Wyszyński i S-ka Warszawa

UWADZE PP. MYŚLIWYCH!



Pracownia preparowania ptaków i zwierząt
ANTONIEGO ŁASTOWSKIEGO I SYNA
Warszawa, Krakowskie Przedmieście Nr. 22 m. 19
z dn. 1 kwietnia r.b. została zlikwidowana. Nieodebrane preparaty do wydania i wykupienia przejęła firma



STEFANA GREULICHA

W WARSZAWIE, NOWY ŚWIAT 61 m. 15, TEL. 5-37-84

która posiada obok pracowni preparowania zwierząt, ptaków, gadów, płazów i ryb, oprawy rogów, kłów, wyprawy skór z włosem, robienia dywanów ze skór, przebogate muzeum myśliwskie, dostępne do zwiedzania zainteresowanym P. P. Myśliwym.

Uwaga: Zakład prowadzi sam właściciel, pracownię zaś były kierownik firmy Antoni Łastowski i Syn — p. Leon Hankiewicz.



EGZ. OD 1861 R.

SKŁAD i FABRYKA BRONI

J. SOSNOWSKI w Warszawie

sp. z o. o.

Krakowskie Przedmieście 7, Tel. 647-47

WYJĄTKOWA OKAZJA!!!

Chlubnie znane od kilkudziesięciu lat COCKERILL'ki, bezkurkowe, M. L. z koroną, systemu Anson Deeley, cal. 12, 16, 20 od Zł. 200.—
takież same z eżektorami od Zł. 300.—

SKŁAD BRONI I AMUNICJI

Rusiecki i Dziedzic

WARSZAWA, UL. MARSZAŁKOWSKA Nr. 97
w pobliżu Dworca Głównego
TELEFON 728-19

POLECA: DUBELTÓWKI, SZTUCERY, KARABINKI PISTOLETY PIERWSZORZĘDNYCH FABRYK ORAZ DUŻY WYBÓR BRONI OKAZYJNEJ

WŁASNE WARSZTATY RUSZNIKARSKIE WYKONUJĄ WSZELKIE NAPRAWY SZYBKO DOKŁADNIE I TANIO

Zwierzynę, ptactwo dzikie, drób

zakupują w każdej ilości po najlepszych cenach rynkowych

BRACIA PAKULSCY

Warszawa, Centrala Bracka 22

telef. 631-75, 631-58 telegr. „Brapakul"

Przy zakupie win naturalnych, gronowych, które posiadamy w wielkim wyborze, począwszy od zł. 3,75 za butelkę, dla JWP. Ziemian ustępujemy 10 procent rabatu

---

JAKÓB MAREK

WARSZAWA, UL. BIELAŃSKA 22
POLECA OBUWIE MĘSKIE SPECJALNOŚĆ

BUTY

DO GOSPODARSTWA DO KONNEJ JAZDY, MYŚLIWSKIE
ROK ZAŁOŻENIA 1869



Inż. LUDWIK SZMID

TECHNIK LEŚNY
TOWARZYSTWA KREDYTOWEGO ZIEMSKIEGO
Warszawa, Okólnik 9 m. 13, telefon 6.39-36

Na dogodnych warunkach wykonywa wszelkie roboty, wchodzące w zakres leśnictwa, jak: urządzenia lasów, rewizja planów, stałe lub jednorazowa inspekcja, ocenę poręb i całych drzewostanów na sprzedaż, przy kupnie, działach rodzinnych i sprawach spadkowych.



WARSZAWSKA SPÓŁKA MYŚLIWSKA

SKŁAD BRONI I FABRYKA AMUNICJI I ŚRUTU

W WARSZAWIE, UL. KRÓLEWSKA 17

POLECA:

strzelby bezkurkowe słynnej belg. fabryki F. N. syst. Anson 12 i 16 po zł. 220.—
takież z eżektorami . . . . „ „ 265.—
system Holland z eżektorami . . . . . . „ „ 380.—
oraz A. Jos. Defourny w Liège. z zamkami syst. Holland—eżektor—po „ 475.—

Oddziały własne:	POZNAŃ	LWÓW	WILNO	KATOWICE
	Pierackiego 12	Pl. Mariacki 4	Wileńska 10	Młyńska 2